AS



Nr. 34

22 SIERPNIA 1937 R.

FLIRTING-BRIDGE

Artyści filmowi Colin Tabley, Ann Sherida[n] i Ray Milland grają w jap[ońskiego] ...

ŚWIERSZCZ ZA KOMINEM

FELIKS DANGEL

Czy pamiętacie urok rodzicielskiego domu? Napewno pamiętacie! Były tam mebelki stare i skrzypiące, stare sztychy na ścianach, jakieś pamiątkowe wazony, które niesforne chłopaczysko obtłukiwało z zabytkowych uszu i zdobień kwiatowych, był zegar, który bił kwadranse i godziny, a dwaj murzynkowie na nim plastycznie uwidocznieni, z dzwonieniem godziny bili młotami w kowadło... I był tam komin...

A jeżeli nie było komina, to napewno była jakaś stara spiżarnia, pachnąca pleśnią i dojrzałemi jabłkami, na której półkach zasiadły gliniane gąsiory, białemi czapeczkami pęcherzy pokryte, w których matka na zimę przygotowywała słodkie zapasy.

W komorze takiej zawsze straszyło, bo w niej kiedyś zabito powstańca, czy kowal po pijanemu się powiesił. Mieszkały tam długonoge pająki, figlarne myszy pod miotłą wyłysiałą i mieszkał tam jeszcze ktoś. Skrzypek, wiolant doskonały, śpiewak, co czasami nocą, niewidoczny dla nikogo, przenosił się do kuchni za piec i w długie wieczory wygrywał swoją sarabandę.

Wygrywał serenadę nadchodzącej jesieni, szary, malutki świerszcz (gryllus domesticus).

Nie byłoby bajki o krasnoludkach, nie byłoby słodkiego uroku Dickensowskiego komina, gdyby nie on, ten szaropłowy maleńki owad, którego zdawna już znała nauka przyrodnicza, a który zamieszkawszy wśród ludzi, zadomowił się, wplótł do ich życia legendy czy romanse.

Szczuplejszy nieco i krótszy od świerszcza polnego, o skrzydełkach, kończących się wąskiemi przysadkami od pokryw, które pokrywają jedną trzecią całego ciała, a długie, trójstawowe nóżęta tylne nadają mu podobieństwo do konika polnego, z którym blisko jest spokrewniony.

Rodzi się właśnie w przededniu miesięcy jesiennych z jajeczek, które samiczka poprzedniego już roku złożyła w gniazdeczku w próchnicy, pracowicie wygrzebując długi lejek i wyjrzawszy z mroków swego zaułka, zaczyna rosnąć nieprawdopodobnie prędko, aby już z nastaniem chłodnych nocy, rozpocząć pierwsze etiudy skrzypcowych swych pieśni.

Pieśń świerszcza jest znaną. W monotonji swojej uspakajającą, kołyszącą do snu, skłaniającą do rozważań, pochodzi od tarcia chitynowych skrzydełek owada, które dają koncertowy efekt. Za kominem, czy wśród belkowań komory, w starych domostwach, gdzie go nie prześladowano nigdy ani gorącą wodą, ani eksmitowaniem chemicznemi środkami, świerszcz nie grywa nigdy samotnie, ale koncertuje zespołowo z bracią swoją, która się lęgnie masowo i która zwabia ćwierkaniem owady w jedną dużą gromadę.

Studja biologiczne nad życiem świerszcza domowego byłyby może nie specjalnie ciekawe dla szerszego ogółu, poza uczonymi entomologami, gdyby nie rola świerszcza w baśni i w legendzie.

Do polskiej legendy i do polskiego domu przeprowadził się świerszcz kominowy od lat bezapelacyjnie i początków współżycia jego należałoby szukać prawdopodobnie już w grodziszczach drewnianych, rozsianych po lasach, a po raz pierwszy zaśpiewał prawdopodobnie Polakom wtedy, gdy rycerz Lech powracał z łowów w lasach gnieźnieńskich, gdzie się wiodły orły.

Od św. Klary wróżono zawsze z świerszczy, czy jesień będzie w płody bogata.

Mikołajowa, zgarnąwszy duże fajansowe talerze, w których na kolację podano młode kartofle i zsiadłe mleko i złożywszy obrus wzorzysty, opierała się o stół i chwiejąc siwą głową, nasłuchiwała od ściany.

— Czy Mikołajowa duchów słucha?

— Ciszej, gadzina, świerszcz ze mną gaworzy.

A świerszcz gaworzył już od zmierzchu, tylko starowinka nie słyszała, ale pochwyciwszy pierwsze cyrkanie hitynowych skrzydełek, uśmiechała się rozjaśniona i cytowała zawsze ten sam dwuwiersz.

„Świerszcz powiedział świętej Klarze
Że grosz u nas będzie w parze".

I przez dni kilka następnych chodziła rozsłoneczniona, wierząca w świerszczową wróżbę, a chociaż w międzyczasie przyszła jakaś hiobowa wiadomość, że krowa się tam wzdęła, czy jakiś „zbój" z lasu sosenkę pociągnął, odpowiadała na klęski optymistycznie:

— Wszystko marność, zobaczycie, że będzie dobrze.

Takim to druhem pocieszającym był świerszcz i nigdy się przecież nie zdarzyło, ażeby na karb ćwerkotania jego, zły jakiś omen poczytano, zawsze był zwiastunem radości czy spokoju, nieodłączny trubadur jesieni, którą przecież tylko neurastenicy uważają za porę roku smutną, jako okres obumierania, a która u ludzi zdrowych i w naturze, jest pogodnym okresem odpoczynku.

Świerszcza słuchają bajki jesienne, świerszcz jest natchnieniem do wspominków, które przy nim odżywają i wypełzają ze starych ram portretowych, czy też pożółkłych sztambuchów.

Najczarowniejsza z bajek słowiańskich, bajka o kraśniętach, której zapożyczyli sobie przed laty romantyczni bracia Grimmowie, bajka, nieodrodna siostrzyca nibelungowych karłów powstała prawdopodobnie na tle życia tej istoty owadziej i przetrwała w bardzo ciekawej formie do dziś dzień wśród ludu poleskiego. Prymitywny i personifikujący wszystkie objawy przyrodnicze wieśniak poleski uważa świerszcza za kominem za istotę na pół ludzką, wielce uduchowioną, która obserwuje codzienny tryb życia jego i od której zależy w wysokim stopniu kierowanie jego losów. — Co wieczór też przed zaśnięciem gospodyni zbiera do glinianej białej miseczki resztę jadła, okrasza odrobiną mleka i stawia za komin czy też w komorze, gdzie odzywają się świerszcze, a stawiając pokarm, wymawia sakramentalną formułkę, zapraszając świerszcze do jadła, równocześnie prosząc ich, ażeby „nie psowały żywota". W ćwierkaniu świerszcza lud poleski doszukuje się uwag i tak tłumaczy sobie niekiedy ćwierkanie na nieskrzętną gospodynię w postaci zdania: „Nastia, Nastia a Nastia... hadka", lub też uwagi co do małej odporności gospodarza na trunki alkoholowe: „ich ty... ich ty... Arsssiej... napiliłsia...".

A nawet, gdy świerszcza zapytać w półkurnej chacie o losy zmarłych, to zawsze odpowie: „Cztoż, cztoż, cztoż... pahib... pahib".

Rzecz oczywista, że następnego dnia zrana w wystawionej miseczce niema już ani krztyny z podanego pokarmu, który wykończyły bynajmniej nie świerszcze, ale głodujący zawsze jakiś psiak czy kociak, albo też skrzętne myszy, które uporały się z miseczką bardzo pochopnie. Gdy natomiast miseczka zostaje pełna i rzekome świerszcze pokarmów nie wzięły, wróżba wtedy wypada złowieszczo i należy oczekiwać jakiejś klęski, padnięcia krowy, złego omłotu, a nie daj Boże i co gorzej, pożaru albo złapania przez gajowego w dworskim lesie.

Świerszcze jednak są naogół łaskawe i złe wróżby zdarzają się rzadko, więc nikt ich nie płoszy, tembardziej, że tam, gdzie zagnieżdżą się, wypłaszają i zjadają inne robactwo, jak prusaki czy karaluchy, których rozmnożę mocno trzymają w ryzach.

Od chaty do dworu zadomowił się świerszcz i wszędzie jest przyjacielem. Gdy floksy zakwitną po ogrodach i gdy dojrzewający owoc obciążać zaczyna ku murawie gałęzie drzew po sadach, świerszcz rozpoczyna swój sezon artystyczny. U komina z tradycją i wspomnieniem pospołu zasiadła babka. Ona jedna i dwie tamte stanowią nieodłączny triumwirat każdego domowego ogniska.

Świerszcz się właśnie rozgaworzył za starą belką, więc rozgaworzyły się i trzy staruszki.

— ...a starego pana Stanisława Walewskiego, to napewno pamiętasz. Taki piękny, czerstwy mężczyzna i otóż on właśnie do twoich pradziadków przyjeżdżał na jesienne polowanie.

— Kiedy nie pamiętam, babuniu.

— Jakże nie pamiętasz, wieleż to lat mogłeś mieć wtedy? Byłam taką młodą panienką i nosiłam długie warkocze.

Obroty wieczyste starego zegara, sunące po etapach godzin, zacierają odległość czasu i cyfrę lat.

— A prawda, przecież to jeszcze twojego ojca nie było na świecie.

Cykał zegar i tylko świerszcze zaśmiewały się za kominem...

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 34 — Niedziela 22 sierpnia 1937 — Rok III

ASY NUMERU 34-GO:



Fot. Keystone — Berlin.

W Pescara we Włoszech odbyły się ostatnio po raz trzynasty wyścigi samochodowe o puhar Acerbo, w których wzięła udział niemal cała elita europejskich kierowców. Przebieg tej imprezy wykazał wielką sprawność maszyn niemieckich, jak „Auto-Union" i „Mercedes-Benz", które stoczyły pojedynek z nowym wyścigowym modelem „Alfa Romeo". Zwycięstwo odniósł kierowca niemiecki Rosemeyer na „Auto-Union", ustanawiając nowy rekord trasy i zdobywając wielką nagrodę króla włoskiego oraz złoty medal Mussoliniego. Na zdjęciu: Rosemeyer w czasie wyścigu w Pescara.

ŻYWIOŁ UJARZMIONY

Na brenz opałonym wychowankom rzek, mórz, stawów, jezior i pływackich basenów zawsze najbliższy będzie plusk wody oranej długiem wiosłem, prutej białą żaglówką. Ale nawet zaborczą wolą człowieka ujarzmiona woda raduje nasze oko i ucho licznemi szemrzącemi, mieniącemi się subtelnemi barwami fontann, kaskad wodotrysków czy studzienek gotyckich.

Rozejrzyjmy się po kontynencie Europy w poszukiwaniu tych najpiękniejszych studzien i fontan. Szczególny rozrost sztuki ogrodniczej okresu renesansu w Italji, który odegrał wielką rolę w historji ogrodu ozdobnego Europy, otwiera pole do bogatego zastosowania różnorodnego „zdobnictwa wodnego", a mało jest takich okolic, które mogłyby pochlubić się równie okazałem skupiskiem pysznych ogrodów, jak pobliże Romy. Italski artysta-ogrodnik dostosowywując swoją bogatą inwencję do układu terenu uzyskuje tym sposobem niezwykle bogate i czarujące efekty; specyficznemu urokowi tych kompozycji nie zdołają się oprzeć malarze francuscy XVII i XVIII wieku, szczególnie czuli na piękno przyrody jak: Poussin, Fragonard, czy jego przyjaciel znany „malarz ogrodów" Hubert Robert.

Do najświetniejszych zaliczyć bezwątpienia należy wodotryski cienistych ogrodów willi kardynała d'Este, założonej w r. 1540 w pięknem Tivoli, słynącem „wielkiemi kaskadami" rzeki Anio i uroczą „cascatelle", ulubionem miejscem wytchnienia i zabawy patrycjatu rzymskiego. Zwyczajem italskim, na stoku zbudowanej wśród zieleni ogrodu willi niewielka rzeka z gór płynąca, ręką zdolnego artysty-hydrotechnika ujęta, wyczarowała świat baśni, drgając tysiącem pióropuszy wodotrysków, szemrzących kaskad i lśniących spokojną taflą szmaragdowych basenów. Niemniej znana nieco późniejsza bo z 1598 willa Aldobrandini w małem Frascatti, panującem z łagodnych stoków gór Albańskich nad żyzną Kampanją, szczyci się tak zwaną „wielką kaskadą": wąskie stopnie brodatym mchem obrosłe w cieniu dębowego szpaleru wiodą od źródeł długą strugę wodną, by radośnie wytrysła jasnym strumieniem w jednej z nisz rozległego półkola budowli o nieco teatralnej może architekturze renesansowej; boczne jej skrzydła obejmują tak zwane „Salles fraîches", a więc rodzaj przedstanisławowskiej „łazienki" w Ujazdowie.

Florentyńskie ogrody Boboli, założone w 1550 przez żonę Kuźmy I Eleonorę z Toledo na wyniosłości lewego brzegu rzeki Arno, głośne swemi „belwederami" nie obeszły się bez tej wartości zdobniczej, jaką jest fontanna, i już z okien renesansowego pałacu Bruneleschi'ego — Pitti widnieje seledynowa jej smuga na tle terasowo opadającego ogrodu.

Znakomity Bernini, architekt pełnego baroku rzymskiego, kształtując plac przed św. Piotrem w formie elipsy, umieszcza w jej ogniskach dwa z granitu wschodniego wykute wodotryski, szczęśliwie zaznaczające wyszukany jego układ. Stalowej barwy rozwiana kiść wodna na tle złotawego trawertynu, w ramionach monumentalnej o doryckich proporcjach, kolumnady na białym od blasku słonecznego światła placu podkreśla jego potęgę, lecz sprawia zarazem, że cały jego majestat skończonej, zamkniętej w sobie kompozycji staje się nam bliski i swojski.



Powyżej: Figura kamienna wodotrysku na Place de la Concorde w Paryżu.



Na prawo: Fontanna na rue de Sèvres została zbudowana w stylu egipskim po powrocie Napoleona z egipskiej kampanji.



Poniżej: Aleja stu fontan w Tivoli.

Tłumnie w ciepłe wieczory przez ludność dziś ubogiej dzielnicy nawiedzaną Piazza Navona zdobią trzy fontanny; ustawione na długiej osi placu przypominają swem rozmieszczeniem, że dzisiejszy plac zawdzięcza swoisty kształt rzymskiemu jeszcze cyrkowi „Circo Agonale". Środkowa i południowa jest dziełem Berniniego. Środkowa ukoronowana smukłym, rzymskim obeliskiem na czterech narożnikach, zdobna uosobieniem czterech rzek, czterech części świata, skąpanych w strugach wodnych, daje barwną aczkolwiek skomplikowaną sylwetę.

O walorach fontanny, jako o wartościowym akcencie urbanistycznym w ramach wnętrz wielu pałaców moglibyśmy snuć jeszcze długie rozważania. Stosują je najświetniejsi urbaniści renesansu, baroku czy







Powyżej na lewo: — Jeden z najpiękniejszych wodotrysków znajdujących się w słynnym parku wersalskim.

Powyżej na prawo: Kaskady w parku królewskim w Casercie (Włochy).

Fot. Delius.

Na lewo: Wodotrysk na placu Nowomiejskim w Poznaniu z posągiem Perseusza i Andromedy.

Poniżej: Ciekawy w kompozycji wodotrysk posiada Bydgoszcz: scena z Potopu, stanowiąca centralny punkt fontanny.

okiem, a u stóp dopiero tej całości rozkłada się właściwa fontanna. Twórca operuje wielkiemi kontrastami rytmicznego układu płaszczyzn architektonicznych z luźno rozrzuconemi łomami kamienia.

Szeregi artystów francuskich szukających w ciągu prawie że dwóch wieków natchnienia i ustalających zasady swej sztuki ogrodniczej na świetnych przykładach ogrodów Italji, szczególnie Rzymu i jego okolic, wydaje genjusz Le Nôtre'a, a ogrody Tuileries, czy dla Marji Medici komponowany ogród Luksemburski stają się dla niego tylko doskonałą odskocznią. Woda w kompozycjach ogrodowych u prekursorów Le Nôtre'a odgrywa podrzędną rolę, u niego zaś zyskuje conajmniej równorzędną z parkami w kwiatach i zieleni. Le Nôtre pracuje na terenie Anglji, Austrji, Polski, tworzy park Saint Cloud, Meudon, całe bogactwo jednak swego talentu rozwija dopiero w uroczej dolinie Sekwany w parku wersalskim, gdzie nagina teren do swego planu. Stwarza skomplikowany system wodny. Wciąga w orbitę swych pomysłów artystów rzeźbiarzy tej miary co Girardon, Coysevox, Le Hongre i wielu innych, aby w ramach jego założenia kształtowali szczegóły. Fontanna, wodotrysk, kaskada, wodą plujące, maszkarony, muszle, wazy, wreszcie baseny znajdują najszersze zastosowanie. Ornamenty haftowanych barwnym kwieciem licznych „parterów" mają za punkt centralny, stosowny swym kształtem basen. W dni powszednie zwykle cicho jest w parku wersalskim. Grupy turystów i spacerowiczów nikną w jego ogromie. W każdą jednak pierwszą niedzielę miesięcy letnich Wersal ożywia się. Tramwaje, autobusy, koleje wyrzucają gromady turystów. Nieprzerwany sznur aut mknie szeroką Avenue de Paris, by zaparkować się na centralnym placu Wersalu. To dzień „wielkich wód". „grandes eaux". Park rozszumiał się tysiącem grających fontann.

Tak rojno i gwarno musiało być tu zawsze kiedy król zjeżdżał z dworskim orszakiem, dziś zmienił się strój tylko i „ceremoniał". Z żalem opuszcza turysta miraże wskrzeszonej przeszłości, a poszum ożyłych fontann odprowadza go do wagonetek tramwaju, które powiozą go poprzez jasne, ciche Sèvres, poprzez łagodne pagórki nadbrzeża Sekwany wzdłuż Quai d'Auteuil, Passy. W przejeździe będzie miał okazję rzucić okiem na kaskadę nowoczesnego wystawowego pałacu Trocadero, który powstał w miejsce

Dokończenie na str. 20-ej.

XVIII wieku. Niech nam wystarczy, że i wdzięczny renesansowy plac florentyński S. Annunciata szczęśliwie zostaje uzupełniony fontannami, które konkurują o lepsze w podkreślaniu osi placu z konnym posągiem Ferdynanda I, że twórcy słynnego rzymskiego placu di Spagna nie omieszkali ozdobić go skromnym bodaj basenem, a i ważny Piazza del Popolo nie obszedł się bez ich dodatku.

Obraz ten nie byłby kompletny, gdybyśmy nie wspomnieli o szczególnie oryginalnej w pomyśle fontannie Trevi z okresu późniejszego baroku, z drugiej ćwierci wieku XVIII, dziele Nicolo Salvi'ego, do której przywiązana jest miła bardzo legenda: ten mianowicie turysta, który wrzuci solda do sadzawki napewno powróci raz jeszcze do Rzymu. Drobną monetę z wody wyławiają biedne dzieci okolicznych domów. Fontanna skomponowana w ścisłej łączności z frontonem piętrowego pałacu jest wytworem wielkiej swobody artystycznej. Partję środkową pałacu pomyślaną jako łuk rzymski o czterech półkolumnach, attycę i niszach zdobnych rzeźbami z główną postacią Neptuna, flankują partje jednolicie rozłożonych



PRZYJACIELE

O MAŁPCE KAPUCYNCE



Chodź, zabawimy się...



Zaczynamy...



Złapał kozak tatarzyna, a tatarzyn... za ogon trzyma.



Niedozwolony chwyt...



Mam dość...

Na imię mi Kubuś. Mam zaledwie rok i parę tygodni. Urodziłem się w Krakowie, a dzięki troskliwości mego przybranego ojca (pana), który z godnym lepszej sprawy poświęceniem wychowywał mnie na „flaszeczce", chowałem się zdrowo w olbrzymiej, niczem mały pokój, klatce, oglądając zieleń drzew i błękit nieba, hen, z wysokości okien malarskiej pracowni. Pewnego dnia, dla mnie zresztą tragicznego, zabrano mnie w maleńkiej klateczce do Warszawy! Tok mego życia zmienił się natychmiast. Moja nowa pani nie odstępowała mnie na chwilę. Zrozumiałem, że jestem dla niej czemś bardzo ważnem. Dużo jednak czasu upłynęło, zanim zdobyła sobie moje zaufanie, raz już tak sromotnie przez poprzedniego mego opiekuna zawiedzione.

Warszawą nie byłem zachwycony. Tam nawet tej odrobiny zieleni nie widziałem. Aż dnia pewnego zapakowano mnie znowu do małej klatki, okryto pledem i po kilkunastu godzinnej podróży znalazłem się w starym polskim dworze. Wnet też zapoznałem się z rozkładem mieszkania i doszedłem do wniosku, że najkrótszą drogą do wszystkich dotychczas niedostępnych przyjemności jest... okno! Jeden sus i już znalazłem się na gazonie wśród kwiatów i zieleni. Lecz krótką była moja radość. Ze wszech stron wypadły na mnie olbrzymie bestje, czarne, białe i łaciate, szczekając przeraźliwie. Myślałem, że to moja ostatnia godzina. Żeby chociaż pani moja wiedziała, w którym żołądku tych bestyj będzie mój grób! Ale — nie opowiadałem się jej przecież, idąc ukradkiem na mą eskapadę! Lecz o dziwo! Straszne potwory zatrzymały się, stanęły, poczęły mi się przyglądać, a najmłodszy z nich sześciomiesięczny owczar polski Bacą zwany podszedł, machając ogonem i począł mnie obwąchiwać. Inne oglądały mnie zdala, trzymając się z rezerwą. Spocony jeszcze ze strachu zrobiłem najpiękniejszą minkę do mego prześladowcy, który delikatnie wziął mnie na swój nos, podrzucił do góry, a potem ująwszy lekko w zęby, zaniósł pod okno mej pani.

I tak się zaczęła ma przyjaźń z Bacą. Był moim najlepszym przyjacielem, z pośród wszystkich czworonogów. Bawiliśmy się zawsze razem do upadłego, jego „upadłego", gdyż potrafiłem go tak zmęczyć, że po godzinie, gdym go zostawiał w spokoju, leżał jak bez życia i wywaliwszy ozór ciężko tylko dyszał... Kochany przyjaciel Baca!

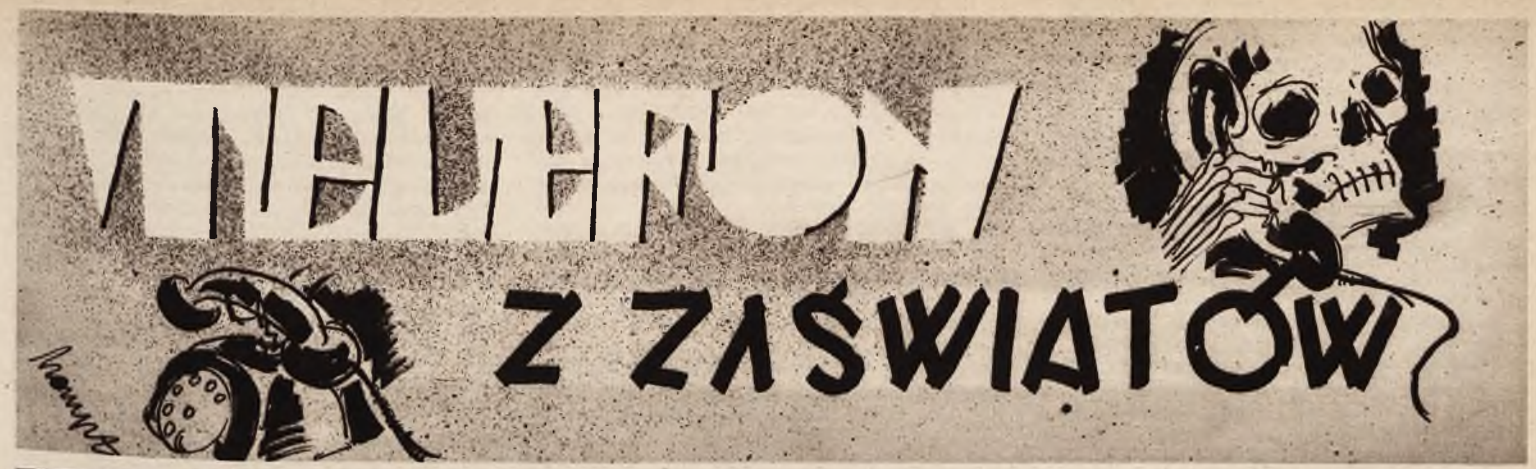
I jeszcze jedno zdobyło moje serce dla Bacy: nigdy nie słyszałem, aby wyraził się o kimś niekorzystnie, nazywając go małpą! A tymczasem niestety ludzie nader często nadużywają tego określenia, nie wiedząc sami co mówią. Nie chcę być złośliwy, ale mógłbym im oddać równą monetą, gdybym chciał. Ale nie chcę!

Dzisiaj w wielkiem mieście tęsknię za nim, licząc dni, kiedy go znowu zobaczę. A i on podobno długo biegał po moim wyjeździe dookoła starego dworu, szukając, gdziebym się mógł podziać... **Z. H.**

FOT. Z. H. ◆◆ WARSZAWA



POD ŻAGLEM... FOT. BIAŁKA



TELEFON Z ZAŚWIATÓW

WŁADYSŁAW JAN TURZAŃSKI — **NOWELA**

Około godziny 9 rano redakcja nasza falowała jeszcze niekompletnem życiem, pełnem sennych wspomnień. Leżał przedemną papier, pióro umaczane było w atramencie, korespondencja z prowincji czekała na opracowanie, a mimo wszystko nie mogłem się dnia owego zabrać do roboty. Przeczuwałem, że w czasie tym stanie się jeszcze raz coś niezwykłego. Redakcj mieściła się na drugiem piętrze. Na ulicy widocznej z okien pokoju, w którym pracowaliśmy, od rana zbierali się kolporterzy. Urządzali oni rodzaj prywatnych wieców, siadali podobni do szarych wróbli na krawężnikach deptaków, grywali nawet na asfalcie jezdni w palanta, lub w „centy" i dopiero za zbliżaniem się samochodu naszego wydawnictwa, lub prywatnej dorożki, — rozbiegali się hałaśliwie.

Tego dnia gwar, jakim kolporterzy napełniali ulicę, denerwował mnie wybitnie. Należy dodać, że od strony przeciwnej, a mianowicie od podworza, mieściły się zakłady graficzne, buchalterja i administracja. Każdy z tych działów ożywiany swoistem życiem, przemawiał innym zespołem gwarów i hałasów. Pogwar drukarni był w swojej treści najbardziej dojrzały, rytmiczny i przypominał spokojny szum niewidzialnego morza. Na samym dole, na kwadratowem dnie wyłożonego cementem wewnętrznego podwórza, mieścił się park samochodowy wydawnictwa.

Ciemne, ślepe otwory garażu porównywałem wielokrotnie do monolitycznych mieszkań z epoki jaskiniowej i cieszyłbym się niepomiernie, gdyby wysunęła się stamtąd kiedyś, — jeżeli już nie głowa to w każdym razie czaszka „człowieka z Neandertalu". Niestety ubrani w błękitne kombinezony wychodzili stamtąd szoferzy i mechanicy naszego wydawnictwa. Do szoferów zajętych przy rozwózce nakładu miałem stałą animozję. Uważałem ich za klasyczne typy leniuchów. Stwierdziłem kilkakrotnie, że włazili pod zupełnie zdatne do chodu samochody i markując remont, godzinami całemi w jakiejś niezdrowej kontemplacji wpatrywali się w wewnętrzny pępek karoserji. Nie były to objawy budujące.

W redakcji naszej, tak, jak w każdej społeczności ludzkiej, panowało wewnętrzne utajone życie. Były chwile żywszego pulsowania i okresy wręcz przeciwne. Istniały jak wszędzie, małe intrygi, sympatje i zawiści, okresy chwilowych triumfów i równie chwilowych klęsk. Trzeba dodać, że byliśmy wszyscy młodzi. Chwilami młodość wzbierała w nas i kipiała tak właśnie, jak wre i bulgocze woda w zanadto przygrzanym czajniku. Istniała w naszych jaźniach kolorowa rozmaitość poglądów, co było zdrowym bodźcem do kulturalnych dyskusyj. Typem najbardziej ciekawym, najinteligentniejszym, niestety najmniej znanym był redaktor zwany „radjotelegrafistą". Na zawsze już pozostanie on w mojej pamięci podobny do dużego i samotnego znaku zapytania. Nigdy nie poznałem go bliżej. Od ósmej rano do pierwszej lub drugiej po południu siedział przykuty do słuchawek i radjoaparatu. — Chwilami lękałem się, że człowiek ten oszaleje, chwilami zaś myślałem serjo, że zamieni się w część składową maszyny, z którą zespoliła go praca i że zabłyśnie tajemniczem światłem lampy katodowej, lub zacznie przemawiać drewnianym głosem elektrodynamicznego megafonu. Słuchał dzienników radjowych i komunikatów w różnych językach, tłumaczył je odrazu w mózgu na język polski i przestenografowywał na leżącym przed nim papierze. Na podobieństwo płaskiej maszyny drukarskiej wyrzucał ze siebie stosy depesz, które wielokrotnie później musiał przerabiać w duchu bardziej zgodnym z rzeczywistością i nakazami naszego szefa.

Szef redakcji panował nad nami podobnie, jak kapitan panuje na statku nad majtkami, trymerem, donkeymanem i całą resztą załogi. Mogę dziś przyznać bezstronnie, że był to kapitan miły. Zasługiwał w zupełności na stopień dowódcy. Bez wątpienia umiał rządzić. Był wyższy odemnie, nie tylko wzrostem. Stojąc przed nim czułem, że jest odemnie mądrzejszy. Posiadał dziwne oczy: siwe, wypukłe i piękne. Myślałem zawsze, że są to oczy jowiszowe, aczkolwiek nigdy nie widziałem Jowisza, nawet na obrazku, ponieważ ukończyłem szkołę realną. Szczupły, młody i elegancki — naczelny redaktor był dla mnie przykładem dżentelmena. Miał pełen prostoty sposób bycia. Był demokratą, ale w każdym jego geście wyczuwało się starą, szlachetną kulturę. Pierwsze słowa, które wypowiadał po przywitaniu brzmiały:

— Proszę, niech pan siada, panie kolego.

Następnie wyciągał dużą srebrną papierośnicę i nieobecny myślami, ale zawsze jednakowo grzeczny i zagłębiony zarazem w stosach skryptu, po którym kreślił swobodnie czerwonym ołówkiem, dodawał:

— Proszę, niech pan pali. panie kolego...

Owego dnia, jak wspomniałem, nie mogłem pracować. Złożyły się na to rzetelne przyczyny. Przedewszystkiem zaś denerwował mnie krzyk biwakujących na golej ulicy kolporterów. W pewnej chwili wstałem z krzesła i czując na sobie pytające spojrzenie dra Henrykowskiego, zamknąłem okno. Czułem przytem, że dr. Henrykowski robi się bardziej niż zwykle podobny do małego bonzy indyjskiego i pyta spojrzeniem:

— Wiem, że nie wierzy pan w duchy i w przeciągi — więc dlaczego... teraz... w czerwcu...

Nie odpowiadałem. W czasie tym patrząc przez szybę na fioletowy pas odległego o dwa piętra asfaltu, zauważyłem coś takiego, co nagle przerwało tok moich myśli. Ulicą szła wysoka szczupła kobieta. Starsza pani, szukająca wyraźnie wejścia do naszego kantoru. W okamgnieniu uprzytomniłem sobie, że posiada ona pewne cechy dobrze mi znajome i że od dawna czekam na jej przyjście. Nie ulegało wątpliwości, że była to właśnie „ona". Mimo odległość poznałem ten sam co u „niego" śmiały chód i ten sam wyniosły nieco sposób trzymania głowy. Matrona odnalazła wejście do kantoru i zaczęła wchodzić na schodki. Rzecz jasna, że zrobiło mi się zimno. Czoło zrosił mi obfity pot. Machinalnie odwróciłem się od okna i spotkałem bystre zielonochłodne oczy dra Henrykowskiego. Oczy były teraz pytające.

Dopiero później nauczyłem się należycie cenić i rozumieć dra Henrykowskiego. Był mistrzem psychoanalizy. Jeżeli życie było dla tego człowieka ciekawą i nieco przydługą partją szachów, to trzeba przyznać, że był on Aljechinem życiowych roszad i na szachownicy codziennych wydarzeń potrafił przewidywać 20 do 30-tu ciągów naprzód. Wtedy atoli nie znałem go jeszcze; bąknąłem więc coś pod wąsem, spuściłem oczy i chciałem odrazu pójść do szefa i zaalarmować go, że „ona" nadchodzi. Stałem bezradny. Naczelny redaktor urzędował w sąsiednim pokoju. Słychać było jak pił mleko z cukrem i charakterystycznie chrząkał.

I w tej chwili zaczął dzwonić wewnętrzny telefon. Redakcja miała dwa rodzaje telefonów: zewnętrzne, połączone z centralą miejską i wewnętrzne, służące do komunikacji w gmachu. Głos, a właściwie dźwięk dzwonka wewnętrznego telefonu był monstrualną kwadraturą przeraźliwości. Była to dla mnie akustyczna transformacja dotknięcia jadowitego gada. Chciałem sięgnąć ręką po słuchawkę, ale wyprzedziła mnie długa bronzowa ręka dra Henrykowskiego. Zdjął słuchawkę, wlepił przytem we mnie niewidzące teraz nic, zielone oczy i powiedział mechanicznie w telefon:

— Niech tu przyjdzie na górę. Czekamy na nią!

Powiesił potem słuchawkę, rzucił ją właściwie i rzekł znacząco:

— Wiecie — to ta pani, której umiera syn.

Jadowity jego wzrok dodawał:

— Wiem! to ty z szefem zamordowałeś jej syna. Mordercol

Zdaleka dobiegał wzbierający szum drukarni. Słychać było suche dialogi pijanych ołowiem linotypów i wysoki dygot puszczanej na próbę maszyny rotacyjnej. W trzecim pokoju redakcji dudnił jak pusta trumna radjoaparat i spazmatycznie wtórowała maszyna do pisania.

Długa, podobna do korytarza chwila milczenia. Dr. Henrykowski z metafizyczną rozwagą obgryzał drewniany koniec pióra. Ktoś ciężko szedł po schodach. Wreszcie nie wy-

trzymałem. Kilka kroków naprzód i... byłem w pokoju szefa. Wszedłem bez pukania.

— Co z panem jest, panie kolego — powiedział naczelny redaktor i popatrzył na mnie roentgenowemi oczyma. Rzecz jasna, że musiałem być blady. Nie ulegało też wątpliwości, że szef n i e p r z e c z u w a ł j e s z c z e n i c z e g o.

To „tamto" podobne do astralnego widma doszło do ostatniego schodu, przeszło próg i zastukało piszczelem obumarłej dłoni w drzwi.

— Przyszła „jego" matka — rzuciłem w stronę szefa i oparłem się o ścianę.

— Matka, powiada pan, matka jest tutaj. O, to niedobrze...

Zamknął przedewszystkiem oboje drzwi, wiodących do pokoju dra Henrykowskiego, przyszył mnie do ściany ściegiem kilkarotnego spojrzenia, które mówiło:

— To wszystko przez pana... przez ciebie, ty... romantyku!

I potem zmienionym głosem powiedział w stronę hamletowskiej zjawy. Mówił uprzejmie:

— Proszę, niech pani wejdzie.

W biały dzień weszło do redakcji widmo śmierci, które przedtem anonsowało się zresztą za pośrednictwem portjera telefonicznie. Rozumowałem logicznie, jasno i rozpaczliwie jak człowiek, który tonie. Ciąłem na prawo i lewo myślą ostrą jak brzytwa. Wiedziałem: sytuacja była już bez wyjścia. Fakt, że matka pana Rosuhanka przyszła do nas, był bardziej niż znamienny. Poznawałem wyraźnie, że to właśnie jest „jego" matka. To samo suche, wąskie oblicze i ten sam nieco surowy, jakby arystokratyczny zespół rysów twarzy.

Naczelny redaktor z niesłychaną grzecznością przesunął w stronę matrony krzesełko. Usiadła jak automat, w którym pękła główna sprężyna. Wyciągnęła chusteczkę i bez słowa wyrzutu poczęła płakać.

— Jak jest z pani synem? — pytał naczelny redaktor.

— Umiera, umiera panie redaktorze — szlochała niewiasta.

Szef posłał w moją stronę spojrzenie podobne do sygnałów S. O. S.

— Dziwne, że jest tak źle. Przecież kiedy pożegnaliśmy się, rana zdaniem chirurgów nie była tak ciężka.

Matrona w jednej chwili przestała płakać. Małe jej, bronzowe i nieco zaczerwienione oczy popatrzyły na nas z żywym niepokojem.

— Nie rozumiem — odparła. — Jaka rana? O czem mam wiedzieć? Co to wszystko znaczy?

Sytuacja była naprawdę wyjątkowo dwuznaczna. Naczelny redaktor popatrzył na nią i na mnie wzrokiem dyrektora zakładu umysłowo chorych.

W tej właśnie nieskrystalizowanej jeszcze chwili otwarły się drzwi i do pokoju wsunęła się głowa dra Henrykowskiego. Popatrzył na nas w sposób dyskretny i kąśliwy. Zarzucił na mnie spojrzenie jak wędkę, wyłowił mnie z całej kłopotliwej sytuacji, pociągnął wzrokiem do drugiego pokoju i rzekł przytem głośno, tak, że wszyscy mogli słyszeć:

—Panie kolego, prokuratura dzwoni do pana.

Szedłem do kabiny telefonicznej, jak Ludwik XVI na szafot. Czułem się już otoczony rojem policyjnych agentów w ciemnych ubraniach, którzy wiedli mnie bezceremonjalnie przed zimne oblicze sędziego śledczego.

Ażeby naprawdę zrozumieć wagę i zarazem kłopotliwość sytuacji, należy się cofnąć w czasie jakieś sześć miesięcy wstecz. Właściwie na dobrą sprawę, to aż dwa lata. W czasie owym życie moje zbiegło się niespodziewanie z życiem pewnej młodej dziewczyny. Nie będziemy roztrząsali środowiska, w jakiem wzrosła. Jest to rzecz drugorzędna. Być może, że ojciec jej był listonoszem, być może, że notarjuszem lub radcą magistrackim. W każdym razie miała ojca i faktem też było, iż był to uczciwy człowiek. Wychował ją również w sposób zgodny z ogólnie przyjętemi zasadami uczciwości. Zdała zapewne jako dobra uczennica maturę, nauczono ją grać na fortepjanie, kaleczyła od czasu do czasu język Woltera i było jej z tem wszystkiem do twarzy. Była nawet przystojna. Nazwijmy ją Marja, aczkolwiek napewno nazywała się inaczej.

Ponieważ byłem samotny, a ona rozumiała mnie nieco — przeto w pewien księżycowy wieczór zawarliśmy sentymentalną przyjaźń, przypieczętowaną pocałunkiem. Nie lubię kobiet krzykliwych. Marja była cicha i spokojna. W owym czasie stawiałem pierwsze kroki jako dziennikarz. Byłem reporterem sądowo-kryminalnym, miałem liryczne upodobania, zniszczone buty, wypłowiałe ubranie i młode naiwne serce. Poza tem często miewałem karty do kin. Był to jedyny fakt, który w związku z moją osobą został przyjęty z entuzjazmem w jej domu.

Atoli życie ludzkie nie stoi w miejscu, jak przydrożny kamień, ale na podobieństwo wartkiej rzeki płynie ustawicznie naprzód i naprzód. Los zgotował dla mnie przykrą niespodziankę. Zaczęło się w ten sposób, że dnia pewnego administrator naszego wydawnictwa poprosił mnie do siebie, wskazał uprzejmym ruchem ręki krzesło i twierdził, że daje mi pole do popisu i wybicia się i kazał mi przychodzić w konsekwencji wieczorem do pracy. Istotnie zacząłem się wybijać, nietyle jako dziennikarz ile... ze snu. Zacząłem też powoli tracić Marję. Widywaliśmy się coraz rzadziej.

Pewnej wyjątkowo ładnej niedzieli krew zatętniła mi znienacka mocniej w skroniach. Żal schwycił mnie za gardło.

Marja, moja Marja szła pod rękę z kimś innym. Nie zauważyła mnie. Szła wesoła i jak rzadko elegancka. Pełna światła niedziela zrobiła się dla mnie czarna i ciężka.

Obudził się we mnie wigor wszystkich moich nordycko-europejskich, barbarzyńskich przodków. Cały mój gniew przytem, cały gotowy do wszystkiego żal zwróciłem przeciwko towarzyszowi Marji. Postanowiłem poszukać okazji. Byłem jednak ostrożny. Nie zrobiłem wówczas bezmyślnej awantury. O nie! Zapamiętałem jedynie najbardziej charakterystyczny przekrój profilu mojego rywala i potem na pewnej bocznej ulicy za pośrednictwem znajomego szynkarza oddałem się studjom doświadczalnym nad kojącym wpływem alkoholu przy leczeniu ran serca We dwa tygodnie później spotkaliśmy się oko w oko. Towarzysz Marji był w cywilnem ubraniu, sam. Nie miał już przytem poprzednich tak bardzo militarnych cech. Nabrałem słusznych podejrzeń, że mam do czynienia z rezerwistą Postanowiłem działać. Przystąpiłem doń, przedstawiłem się bez podawania ręki i wszcząłem bardzo zresztą grzecznie rozmowę. Był wyższy odemnie i starszy o jakieś lat dziesięć. Miał niezbyt piękną, ale rasową twarz. Oględnie i z taktem poprosiłem go, ażeby — jeżeli sprawy pomiędzy nim a Marją nie zaszły zbyt daleko — dał wszystkiemu pokój. Mówiłem szczerze, jak człowiek do człowieka, jak mężczyzna do mężczyzny.

Nieznajomy wysłuchał mnie i na końcu uśmiechnął się. Uśmiech wydłużył jego rasową i nieco zdegenerowaną twarz i wtedy począł się śmiać na dobre. Poczerwieniał i począł z nadmiaru śmiechu parskać śliną. Wielbłąd wydaje niekiedy podobne bulgotanie...

Byłem wtedy młody. Wybaczcie mi, że obiłem wówczas tę twarz aż do zmasakrowania. Stało się.

Aliści dopiero później wyszło na jaw, że był to człowiek zupełnie niewinny. Nie znał żadnej Marji i był chwilowo w naszem mieście. Niestety kości były rzucone. Przeciwnik mój — jeżeli go tak można nazwać, był jedną z ostatnich gałęzi pewnego arystokratycznego rodu. Miał żelazne pojęcia o kwestjach honoru. Posłał mi sekundantów. Chciałem go przeprosić. Niestety kodeks honorowy nie przewidywał w danym wypadku takiego rozwiązania sprawy. Cała awantura zdarzyła się przed sześciu miesiącami. Jako zastępców uprosiłem mojego szefa i znajomego mi aplikanta adwokackiego.

Sprawa honorowa, po przybraniu tak bardzo niepożądanego obrotu, poczęła się wlec jak bataljon maruderów. Oparła się o sąd honorowy, który obradował długo i dostojnie, jak mieszana komisja przy Lidze Narodów. Rzecz jasna, że wynikiem zespołowych dążeń pacyfistycznych było starcie z bronią w ręku. W międzyczasie przeciwnik mój, którego nazwisko brzmiało Rosuhanek, spadł z konia i złamał nogę. To właśnie stało się zasadniczą przyczyną przewlekania sprawy.

Ostatecznie przyszedł dzień płatności weksla. Świt podobny do chciwego lichwiarza wysuwał właśnie z za śpiących kamienic zielono-chłodne oblicze, kiedy spotkaliśmy się w Rynku: była godzina czwarta rano. Dziewięciu dżentelmenów w czarnych ubraniach, sztywnych melonikach i białych rękawiczkach stanęło w trzech grupach, skłoniło się sobie zdaleka i po wynajęciu trzech taksówek wyjechało za miasto.

Świt z seledynowego robił się różowy. Dojechaliśmy na miejsce. Krętą ścieżyną idąc kilkanaście minut do góry, doszliśmy na niedużą łączkę: później dowiedziałem się, że miejsce było zgóry upatrzone. „Kierownik" wyprawy dobył stalowej taśmy i zmierzył odległość dwadzieścia pięć metrów. Następnie wezwał mnie i pana Rosuhanka do siebie i z pełną namaszczenia gestykulacją otworzył skórzany neseser: w świetle wschodzącego słońca błysły lufy pistoletów. Czarny proch, rożek na miarkę, lniane pakuły i duże, jak podolski groch kule, zapełniały wnętrze pudła. Zapoznano nas z działaniem pistoletów. Były to właściwie niemodne już dziś, nabijane przez lufę krucice. Pistolety były niegwintowane, bez muszek.

Podnieśliśmy kołnierze u surdutów, ażeby zasłonić stwarzające doskonały cel jasne kołnierzyki i gorsy u koszul. Udaliśmy się na miejsce. Westchnąłem po raz ostatni do Boga, polecając Mu swoją duszę.

Sekundy cwałowały jedna po drugiej, rozgorączkowane i szybkie, jak stado rozbieganych mustangów. Poranek robił się coraz bardziej przejrzysty i słoneczny. Rosa na koniczynie opalizowała tysiącami iskier. W leszczynach gwizdał melodyjnie kos. Byłem wtedy jak człowiek, który stoi na szczycie wysokiej trampoliny i skoczyć ma w wodę, po raz pierwszy w życiu w sposób zgodny z jakimś nakazem.

— Gotowi — ognia — zakomenderował donośnym i zdolnym poderwać całą kompanję głosem, inżynier, prowadzący walkę.

Nie czułem do mojego przeciwnika nienawiści. Ożywiał mnie żołnierski nakaz spełnienia obowiązku i wytrwania. Kiedy więc ciemna sylwetka mojego przeciwnika spotkała się z przedłużeniem lufy pistoletu, wykręciłem w prawo w bok i dałem ognia. W tej chwili gruchnął strzał mojego przeciwnika. Echa zbiegły się w jedno. Ognisty pakuł potoczył się pod moje nogi. Czułem się jak człowiek, który po upadku w wodę wypływa na powierzchnię. Serce biło mi szybciej niż zwykle. I nic więcej.

Gorzej było z moim przeciwnikiem. Ślepy los dosięgnął go. Widziałem, jak się zachwiał i puścił w trawę pistolet. Świadkowie wzięli go pod ramiona, a inżynier ogłosił, że „spór dwu dżentelmenów został w sposób honorowy i rycerski załatwiony".

Z rannego ściągnięto marynarkę i koszulę. Na koszuli kwitły krwawe maki. Kula

Dokończenie na str. 31-ej



W uliczce starego Poznania



Na lewo: Pałac Górków od strony narożnika ul. Klasztornej i Wodnej. Na wysokości pierwszego piętra widoczna jest figura Matki Boskiej. — Na prawo: Brama pałacu Górków od strony ul. Wodnej.

Wśród wzniesionych przed kilkuset laty w Poznaniu budowli w niewielkiej liczbie po dzień dzisiejszy istniejących, lecz pozbawionych swego pierwotnego wyglądu, oryginalną historję posiada zbudowany w I-szej połowie XVI wieku pałac Górków — dawna siedziba jednego z najzamożniejszych rodów wielkopolskich — wznoszący się na ulicy Wodnej, tuż opodal wylotu na Stary Rynek. Sąsiaduje on z ulicą Klasztorną, z której to strony narożnik jego ozdobiony jest na wysokości pierwszego piętra posągiem Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Trzypiętrowy ten gmach, obecnie własność Fundacji im. Ludwiki — administrowany przez Urząd Wojewódzki poznański, nie przypomina dziś wyglądem swym pałacu. Na parterze jego mieści się kilka magazynów kupieckich. Okna wystawowe pełne towarów i szyldy reklamowe nadają gmachowi temu raczej wygląd jakiegoś domu towarowego. Dawno przebudowane i podzielone na mniejsze, mieszkania na jego piętrach, służą obecnie placówkom przemysłowym i prywatnym rodzinom. Nie... to już nie pałac!

Jakże bardzo zmienił swe oblicze pałac Górków! Jakże niepodobny jest do tego pałacu z przed trzydziestukilkudziesięciu laty, gdy był jeszcze gmachem reprezentacyjnym Poznania, pałacem wspaniałym i budzącym podziw wśród przyjezdnych gości z innych krajów. Pałac Górków nie był wówczas takim sobie przeciętnym pałacem. Mówią o tem stare skrypty z przed trzydziestu laty, wspominając jego wspaniałość. Ściany pałacu przy drzwiach i oknach wzmocnione były wmurowanemi blokami marmuru, a miejscami ciosanemi kamieniami. Podobnie zbudowane były dziś już zlikwidowane facjaty. Na pierwszem piętrze mieściła się obszerna sala, której wygląd zdołał przetrwać do późna, dzięki czemu starsi obywatele miasta doskonale pamiętają jej wnętrze. Otóż sala pałacu Górków ciągnęła się od ulicy Wodnej aż do ulicy Koziej. Ściany jej wyłożone były płytami z masywnego drzewa, bogato płasko-rzeźbionemi. Miejscami umieszczone były wspaniałe malatury. Podobnie bogato ozdobiony był sklepiony sufit. Nie trudno się domyśleć, co za wspaniałe i drogie umeblowanie musiał posiadać pałac, w którym przebywali wybitni mężowie, wojewodowie, starostowie, biskupi i generałowie, które to godności piastowali członkowie rodu Łodzia-Górków, dziś wygasłego.

Dach pałacu wyposażony był w jednem miejscu w miedziany basen, napełniony wodą, w której pluskały się ryby. Możnaby sobie na dachu tym wygodnie promenować! U brzegów dachu lśniły mosiężne rynny.

Kasztelan kaliski, zwycięzca Moskali z 1533 roku, Andrzej Górka († 1551) — mianowany później w nagrodę przez króla Zygmunta I. generałem ziemi wielkopolskich — przeżywał tu nietylko chwile triumfu, lecz także żałoby, kiedy 1545 roku zmarła małżonka jego Barbara z Kurozwęk — zasłużona Polka. Podejmował Andrzej Górka w komnatach pałacu przez szereg dni roku 1546 księcia pruskiego Alberta i księcia lignickiego Fryderyka ze świtami. W 1551 r., a więc przed śmiercią swą, gdy w Poznaniu miała miejsce katastrofalna powódź i niektóre ze świątyń zostały poważnie uszkodzone, Andrzej Górka ofiarował salę w pałacu do nabożeństw i ufundował ambonę. Zasłużony ten mąż pozostawił trzech synów: Andrzeja, Łukasza i Stanisława.

Łukasz Górka († 1573), wojewoda poznański, popierający tworzącą się na gruncie wielkopolskim gminę polsko-luterańską, oddał w drugiej połowie XVI wieku pałac ten protestantom. Dzięki temu, pałac przeistoczył się w zbór protestancki. Po wygaśnięciu rodu Górków, którzy cały swój olbrzymi majątek zapisali Czarnkowskim, pałac został sprzedany miastu. Staraniem założycielki kilku klasztorów Magdaleny Mortęskiej, która gmach ten przejęła, pałac przerobiony został na kościół i klasztor Panien Benedyktynek — Chełmianek. W tym czasie klasztor — pałac Górków — zwiedzili m. i. król Jan Kazimierz i królowa Marja Ludwika.

Z powodu najazdów szwedzkich w drugiej połowie XVII wieku, gmach ten, jak również inne budowle w Poznaniu, nie wyłączając kościołów, doznał poważnych uszkodzeń od granatów i kul najeźdźcy. Po uprzedniem obrabowaniu klasztoru ze złota srebra i miedzi, żołnierze szwedzcy usiłowali go spalić.

Klasztor ten prowadziły kolejno ksienie ze znanych rodów wielkopolskich. Zakon Benedyktynek zniesli następnie Prusacy w czasie okupacji.

Po zlikwidowaniu klasztoru, urządził tu magistrat wyższą szkołę dziewcząt im. Ludwiki (królowej pruskiej), którą kierował dyr Barth. Do szkoły tej uczęszczały, oprócz Niemek, również Polki. Oprócz szkoły im. Ludwiki, istniały tu równocześnie jeszcze dwa żeńskie zakłady naukowe przy zakonach Urszulanek i Sercanek. Szkoła w pałacu Górków została później przeniesiona na ulicę Młyńską i odtąd pałac ten został zwykłym domem.

Co dziś pozostało z dawnej świetności pałacu Górków?... Tylko kilka śladów. Od strony ulicy Klasztornej dolna część fasady nad bramą zdobna w zczerniałe płaskorzeźbione w piaskowcu ornamenty, czworokątny dziedziniec, z którego wchodzi się do wnętrza gmachu, korytarz, dawniej stanowiący część krużganku o krzyżowem sklepieniu i widoczne potężne ściany. Od strony podwórza mury pałacu o kilku łukach, podparte wokoło kilkoma skośnemi zastrzałami, zaś w ścianie po lewej stronie, zamurowany jedyny filar z piaskowca, zdobny w rzeźby... To wszystko!

Gdyby te mury potężne umiały opowiadać... Posłyszelibyśmy ciekawą i barwną historję o potężnych Górkach, których szczątki spoczywają w poznańskiej katedrze i kościele w Kurniku. Patrzącemu na potężne mury pałacu Górków i na tonący w półmroku krużganek, zdaje się niekiedy, że słyszy kroki zbrojnych panów, szczęk ciężkich szabel, nawoływania na służbę, szelest drogocennych szat pań, rżenie srebro-okutych koni i odgłos kół, zajeżdżających przed pałac wspaniałych karoc... I wtedy tak jakoś dziwnie człowiek się czuje...

I budzi się z zadumy... Właściwie nie budzi się sam.. budzą go odgłosy ulicy... to klaksony samochodów i dzwonki tramwajów, tworzące wspólny koncert ulicy wielkiego miasta...

Artur Czajczyński.



Fragment starego rynku w Poznaniu: na pierwszym planie odwach, na prawo stary ratusz poznański.

KACZKI

KAZIMIERZ SZCZEPAŃSKI

Sześć... sześć...
Pięć pono... pięć pono...
— Sześć... sześć...

Co to?

To odwieczny spór chróścieli z przepiórkami. Ongiś w zamierzchłej przeszłości prowadziły przepiórki z chróścielami interesy i jakoś nie dobrze na tem wyszły. Pożyczyły od nich pięć — tak twierdzą do dziś dnia stanowczo — tylko pięć, a zachłanne chróściele upominają się uparcie o sześć. Wiadomo, kramarskie, pieniacze dusze. A jednak to było pięć, „tylko pięć pono“ a nie sześć...

Odgłosy tego sporu przyniósł mi wietrzyk od stawów na stertę siana, na której spoczywałem z moim towarzyszem po znojnym dniu łowów. To był nasz hotel, wprawdzie bez bieżącej wody, ale zato z cudownymi pogłosami nocnymi.

Na tło tych pogłosów wybiła się nagle ziemba swą spóźnioną pogróżką: „będzies ty widział“ i choć zaraz potem zamilkła, że to już taka spóźniona pora a ona jeszcze się kłóci, to jednak przepiórki ucięły nagle i zaszyły się w dżunglę owsów.

Przez chwilkę, taką malutką chwilkę, zapanowała zupełna cisza, ale już czapla bąk odezwała się basem ze środka stawów, a tuż, tuż nademną rozległ się przenikliwy, choć cichy świst twardych lotek ciągnącej kaczki.



W drodze ku „kaczkonośnym“ szuwarom.



Na wieczornym ciągu.

turystki niezmordowanej, co przy księżycu wędruje stale ze stawu na staw, z bagienka na bagienko, lub na pola z świeżo skoszonem zbożem. Nad wszystkiem góruje rechot żab, a koło ucha brzmi „akord muszek i półton fałszywy komarów“.

Mrok zgęstniał zupełnie, ogarnęło mnie rozmarzenie i już, już miałem usnąć, gdy nagle towarzysz mój chrapnął tak przeraźliwie, żem się zupełnie rozbudził.

Że też człowiek, zawsze nawet „na łonie natury“ musi się zetknąć z dysonansem!!!

A tak bardzo chciałem spać i odpocząć na jutrzejsze trudy, zwłaszcza, że — przyznaję — zmęczyła mnie gorąca dyskusja z moim towarzyszem na temat „zagryzionych“ pod powierzchnią wody postrzelonych kaczek. Towarzysz mój, zresztą bardzo sympatyczny człowiek (tylko trochę za gwałtowny w dyskusjach), spierał się ze mną i twierdził, że kaczka ciężko raniona, chcąc ujść pościgowi nurkuje, chwyta się dzióbem o grążel i ginie bez pożytku pod wodą.

— Mówię ci, że tak jest na pewne! — twierdził mój towarzysz zapamiętale.

Tylu myśliwych i to nie bylejakich ci to potwierdzi...

— Ależ — oponowałem...

— Żadne „ale“ — przerwał mi. — Zapytaj Janka to ci powie ile takich kaczek „zagryzionych“, jak to nazywasz, stracił...

— To że znaleziono, po spuszczeniu stawu — twierdziłem — jaką napół zgniłą kaczkę z szuwarem w dzióbie to jeszcze nie dowód.... Od dziesiątek lat poluję i jeszcze nigdy nie miałem takiego zdarzenia... Owszem przeciwnie — wprawdzie to zawsze długo trwało, ale zawsze znajdywałem takie kaczki gdzieś pod groblą ukryte wieczorem po polowaniu...

— A ja ci mówię... — przerwał.

— Nic mi nie powiesz. Jak długo może kaczka wytrzymać pod wodą bez zaczerpnięcia oddechu? Co? Kilka minut! A potem musi wypłynąć albo przynajmniej wystawić koniec dzioba nad wodę, tak, że tylko prawie niedostrzegalne zmarszczenie wody zdradzi miejsce.

Możliwe zresztą, że komuś się tak wydarzyło, ale dla mnie to jest niezrozumiałe, wszak niema zwierzęcia, któreby normalnie bytując na świecie, popełniało samobójstwo, a takie „zagryzienie“ się pod wodą musiałoby być samobójstwem chyba. Samobójstwo skorpionów w ogniu to taka sama legenda.

Rozbudzony zupełnie ze snu, utkwiłem oczy w rozgwieżdżone niebo i utonąłem znów w oceanie melodji dźwięczącej nad stawami i mimowoli zacząłem recytować półgłosem z „Pana Tadeusza“:

„...Już trzykroć wrzasnął derkacz, pierwszy skrzypak łąki
Już mu zdala wtórują z bagien basem bąki
Już bekasy, do góry porwawszy się, wiją
i bekając raz po raz jak jak w bębenki biją“.

Bekasy, kszyki, dubelty i cała wielka gromada wodnego i błotnego ptactwa łownego... Tak to piękne ptaszki, to piękne strzały, trudne strzały, ale mimo to niemasz nic ponad polowanie na kaczki! Co za rozmaitość zwierzyny, jakie różne strzały, jaka rozmaitość pejzażu... Polowałem w życiu dużo, żadne jednak łowy tak mnie nie pociągają, jak polowanie na kaczki.

Jeżeli początkujący myśliwy wyobraża sobie, że to polowanie łatwe, grubo się myli. Nigdzie może kanony myśliwskie, z czasów, gdy polowanie nie było jeszcze rodzajem sportu, nakazujące, że trzeba, aby, jeżeli chce być pracowitym myśliwym, umiał po pierwsze znaleźć zwierzynę, po drugie strzelić i wkońcu po trzecie ją podnieść, niema takiego zastosowania, jak właśnie przy polowaniu na kaczki. Zwłaszcza to trzecie przykazanie: — podnieść!!!



Z wyżłem na kaczki.



DROGI I BEZDROŻA TEATRÓW AMERYKAŃSKICH

W ostatnim sezonie odwiedził nasz kraj znany teatrolog amerykański Alfred Harding, który wygłosił w Warszawie odczyt, pt. „Współczesny teatr amerykański". Odczyt ten utrzymany był w tonie bardzo minorowym, a stwierdzał daleko idący upadek tego teartru.

Ludność Stanów Zjednoczonych cechował w ubiegłym stuleciu silny pęd do wędrówki w typie pionierskokolonizacyjnym. Podobne formy przybrał tamtejszy teatr zawodowy, opierający się głównie na trupach wędrownych.

Około roku 1880 było w trzech tysiącach pięćset miast Stanów 5 tysięcy budynków teatralnych, gdzie grywało na zmianę 150 zespołów. Pod koniec XIX wieku wytwarza się w USA charakterystyczny podział zawodowego teatru, na teatry nowojorskie (znajdujące się tu w ogromnej ilości, zwłaszcza przy Broadway'u, między 8-mą a 6-tą aleją) i teatry reszty niezmiernych obszarów całego państwa. W Nowym Jorku istniała pewnego rodzaju nieoficjalna giełda aktorów, muzyków, plastyków scenicznych, tancerzy, a wreszcie i samych autorów. Zczasem wytwarzają się i tu ogromne syndykaty teatralne, obejmujące szereg gmachów i scen. Autorów znów ujmują w swe ręce wielkie biura dla twórczości dramatycznej. One regulują i dyktują smak i modę. Broadway narzuca reszcie Stanów autorów i ich twórczość. Nikt nie mógł zyskać sławy, kto nie pozykał względów przepotężnych syndykatów.

Teatry zawodowe są oparte wyłącznie na zasadzie rentowności, nie otrzymują i nie otrzymywały nigdy żadnych subwencyj ani państwowych ani samorządowych. Przedsiębiorcą jest z reguły człowiek interesu, nie mający żadnego zrozumienia dla sztuki, jedynie wyczucie tego, „co chwyci a co nie chwyci". Takim więc dyktatorom podlega, w znacznej mierze do dziś, teatr amerykański nietylko Nowego Jorku, ale i całego USA.

Kryzys, datujący się już od wielkiej wojny w okresie owej słynnej „prosperity" objął szczególnie teatry zawodowe poza Broadway'em, gdzie zawsze naogół umiano się świetnie dostosowywać do konjunktury. — W roku 1908 było na terenie Stanów 337 zawodowych zespołów wędrownych, w grudniu roku 1934 było ich tylko 27-em! Dzisiaj istnieją tu ogromne połacie kraju, a nawet całe stany, gdzie ludność nigdy nie widziała teatru zawodowego. Różne próby ze strony zawodowców nie dają tu żadnego narazie rezultatu.

Na ten upadek zawodowego teatru złożyły się liczne czynniki, przedewszystkiem zaś względy ekonomiczne. Życie współczesne dało Amerykaninowi, który ujmował teatr li tylko jako rozrywkę, trzy tańsze namiastki: magazyn z sensacyjnemi powieściami, radjo i film. Teatr amerykański nie mógł ofiarować mejsca po cenie kinowej za 55 centów!

Z nastaniem i pogłębieniem się kryzysu zaczęły upadać nawet rozrywkowe teatrzyki Nowego Jorku. Od roku 1930 sytuacja na tym odcinku zaczyna się poprawiać, a prym wiedzie tutaj założony w roku 1927 „Roxy Theater", w którym wystawiono dotąd kilkanaście ty-



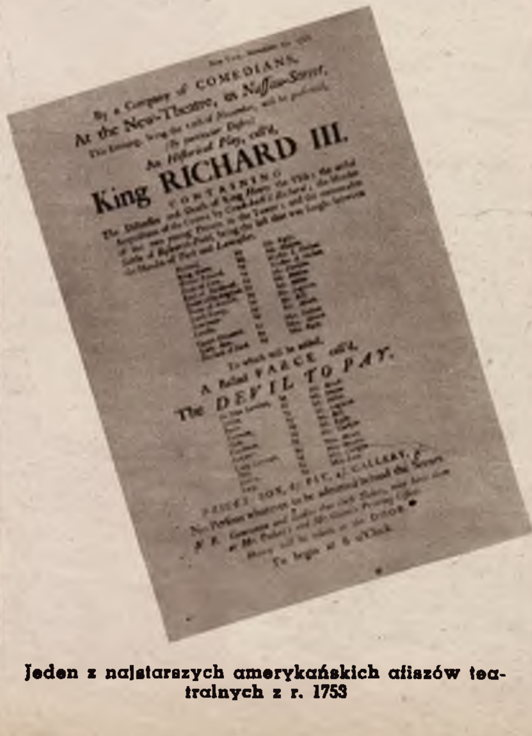
Powyżej: „Hrabina" kreacja L. v. Gaertnera w „Laboratory Theatre".



Wnętrze nowojorskiego „Theatre Gunild".



Kreacje kostjumowe Liljana v. Gaertnera do sztuki „Helena Egipska", wystawionej w „Metropolitan Opera".



By a Company of COMEDIANS,
At the New-Theatre, in Nassau-Street,
An Historical Play, call'd,
King RICHARD III.
CONTAINING
To which will be added,
A Ballad FARCE call'd,
The DEVIL TO PAY.
PRICES, BOX, 5s. PIT, 4s. GALLERY, 2s.
To begin at 6 o'Clock.

Jeden z najstarszych amerykańskich afiszów teatralnych z r. 1753



„Szybkobiegacz" kreacja Liljana v. Gaertnera do sztuki „Helena Egipska".



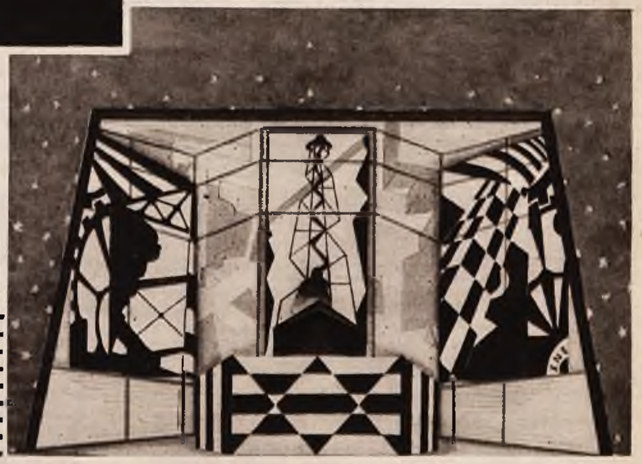
Fragment ulicy Nowego Jorku, który posłużył za temat dla dekoracji scenicznej.

sięcy oryginalnych tanecznych kompozycyj, najwyższy poziom reprezentuje zaś „Radio City Music-Hall". W teatrach jednak tych wielka, a raczej prawdziwa sztuka jest tylko przemycaną i to wyłącznie niemal w dziedzinie choreografji. Trzy lata temu powstała największa bodaj na świecie szkoła taneczna „baletu amerykańskiego", pod kierownictwem Edwarda M. Warburg i Lincolna E. Kirstein, a stronę artystyczną ujęli najlepsi baletmistrze, emigranci z Rosji. Wielką mimo to roztoczono troskę, by nadać kompozycjom koloryt miejscowy, amerykański. Pod wpływem tych czynników podniósł się poziom baletu Metropolitan-Opery, znajdując swój, odrębny od europejskiego, wyraz. Opera ta jest dziś dla Amerykanów właściwym teatrem narodowym, coraz częściej pojawiają się oryginalne pod względem literackim oraz muzycznym opery i balety, mało przystępne dla przeciętnego europejskiego melomana. Prosta literacka forma oper zastępuje Amerykanom brak większej rodzimej twórczości dramatycznej, może jeszcze dla niego zbyt trudnej. Wielki repertuar w naszem pojęciu reprezentują przybysze — goście z Anglji, tej miary, jak Gielgud, Ceward i inni. Nie wychylają się jednak poza metropolję, prowincja staje się coraz bardziej „terra ignota" dla zawodowców. Pogłębia się kultura teatralna miasta (Nowego Jorku), a obniża w reszcie terytorjów USA. Tamtejsze czynniki wychowawczo-społeczne jeszcze nie dojrzały do zrozumienia wagi tego zagadnienia dla ogółu obywateli, zwłaszcza dlatego, że Nowy Jork, metropolja teatru, nie dominuje bynajmniej w życiu umysłowem Stanów. Inicjatywę państwa i samorządu wyprzedziły tamtejsze uczelnie wyższe.

Poniżej: Dekoracja R. E. Jones'a do opery Gounoda „Faust".



Przed dwustu laty, kiedy zakładano tu na większą skalę szkoły średnie i wyższe, przejęto również powszechne wonczas działy dramatyczne. W Europie poza Anglją znikły one zupełnie i dopiero w ostatnich kilkunastu latach zaczęły się odradzać, w Stanach przetrwały, rozrosły się i zróżnicowały. Każde poważniejsze, choćby nowootwarte „college" stara się zorganizować podobne studjum teatralno-dramatyczne. Yale ma dziś najlepsze wyposażenie techniczne, Harward dostarcza najwięcej artystów scenom zawodowym. W ruchu tym wybija się również żeńskie Vassar College. Szkoła ta rozpoczęła jedna z pierwszych szeroką akcję krzewienia sztuki teatru w najbardziej zaniedbanych pod tym względem zakątkach kraju. Skromna baza ekonomiczna pozwoliła kalkulować ceny miejsc od 25—50 centów, czyli poniżej kinowych. Siedemdziesiąt procent widowisk dawane było pod gołem niebem w parkach, na błoniach, w zakładach wychowawczych, nawet w szpitalach i więzieniach. Oglądały je liczne tysiące, które nigdy nie widziały teatru zawodowego. Teatry tych wyższych uczelni są przeważnie w typie doświadczalnym, kojarząc, jak się sami przyznają, wpływy różnorodne: Komiżewska (przed wojną), Stanisławski, Copeaux, Piscator, Reinhardt i inni. Repertuar od surowych „żywych gazet", do Eurípidesa i Szekspira.



Idee akademickich teatrów USA tak określiła znamienita ich propagatorka, Hallie Flanagan: „my jako obywatele amerykańscy, pracownicy teatru, ślubowaliśmy rządowi Stanów Zjednoczonych czynić to, co rozwija wolnego, czujnego, krytycznego ducha, ośrodek i serce demokracji i zwróciliśmy teatr w stronę ludu, którego przedewszystkiem winien być własnością...".

Dr Władysław J. Dobrowolski.

Ilustracje z dzieła o teatrze i kinie amerykańskiem ***JOSEPH GREGOR i RENÉ FÜLÖP-MILLER.***



Powyżej na prawo: Ciekawą dekorację do sztuki „Ptaki" stworzył dla sceny amerykańskiej D. Oenslager.

Na lewo: Hamlet w interpretacji artysty amerykańskiego Johna Barrymoore'a.

Poniżej: Ciekawe ujęcie dekoracji scenicznej w „Laboratory Theatre" kompozycji Liljana v. Gaertnera.



W słońcu i we mgle

Podróżując po świecie i zwiedzając liczne miasta, leżące na trasie wybranego z góry szlaku turystycznego, mamy zwykle tyle tylko czasu, by oglądnąć t. zw. „rzeczy godne widzenia“, o których dowiedzieliśmy się z „Hachette“ lub „Baedeckera“. Czasem, natrafiwszy na przygodnie spotkanego znajomego, dzięki niemu odsłaniają się przed nami kulisy życia jakiegoś miasta i wtedy poznajemy bodaj fragmentarycznie wiele z tych ciekawostek, które normalnie pozostają w cieniu dla każdego spieszącego się turysty.

Ale dopiero zupełna swoboda w dysponowaniu czasem no i... pieniędzmi stwarza nam rozliczne okazje do zagłębienia się w nurt życia miasta, które postanowiliśmy zwiedzić. I wówczas niejedno — dotąd niezauważone — czasem drobnostka, o której zwykle nie wspominają drukowane przewodniki, otwiera nam oczy na charakter miasta i jego mieszkańców.

Rzecz oczywista, że w wielkich ośrodkach — stolicach mocarstw, w których zbiegają się szlaki wędrowne ras i narodowości, ścierają interesy potęg finansowych i wre walka u góry o miljony, u dołu o prawo do egzystencji, tam dopiero wykwita bujne życie, rodząc co dnia sytuacje, o których „mędrcom się nie śniło“ — tragedje, czasem tragifarsy, z których jedne kończą się zagładą, drugie uśmiechem szczęścia.



* * *

Londyn — stolica olbrzymiego imperjum, posiada różne oblicza. Jedno z nich, stosunkowo najrzadziej oglądane, to to, które jaśnieje w promieniach słońca. Wówczas nawet rodowici londyńczycy nie poznają swego miasta, przywykli do innej scenerji. Bo najczęściej ulice toną w mroku, spowite woalem szarej mgły, która dla etrangerów stanowi bodaj już z podręcznika geograficznego zaczerpnięte nieodzowne akcesorjum londyńskiego plenairu. W dnie słoneczne Londyn pozbywa się swej anglo-saskiej flegmy i rozsiewa uśmiechy dokoła. A więc śmieje się olbrzymi posąg Sfinksa nad Tamizą, weselej szumią wyniosłe drzewa Hyde-parku, ożywia się zwykle leniwie pełzający wąż pojazdów, które okrążają plac Piccadilly, wyruszają liczne dyliżanse w okolice Londynu i niosą wesoły zew trąbki pocztyljona.

Po dniach słońca i radosnego nastroju Londyn przykrywa się znowu kołdrą brudnej mgły i zapada w półsen, z którego budzą go wieczorem zapalane latarnie, reflektory, oświetlające brzegi Tamizy. Potop światła zalewa ulice, bijąc nieraz jak przepyszna fontanna z misternie ułożonych neonów, a niekończący się sznur lamp samochodowych drga nad lśniącym asfaltem.

Morze światła toczy zacięty bój z żywiołem, którego zmóc trudno. Czasem zwalczy go na chwilę i wtedy miasto z wyniosłymi gmachami wygląda jak scena, którą pokazano na moment podnosząc kurtynę. Ale już po chwili zapada ona znowu i wówczas życie toczy się po omacku. Ludzie jak duchy wyłaniają się z gęstej zasłony i zaraz potem znikają w otchłani mgieł, która uporczywie trzyma się miasta.

Po takiej nocy, gdy nastanie dzień pogodniejszy, ulica znów się ożywia. Na kopule kościoła św. Pawła złocą się promienie słońca, które powoli wsącza się w ulice i w serca przechodniów... **el.**



Słynny most Tower, oświetlony reflektorami podczas mglistej nocy. *Fot. Keystone — Londyn.*

Na lewo: Malarz uliczny, utrwalający swe dzieła na płytach chodnika.

Poniżej: Zmierzch na placu Piccadilly — reklamy świecą już światłem...



Poniżej: Piesek malarza ulicznego siedząc z czapką w pysku nad brzegiem Tamizy, wyczekuje cierpliwie na datki dla swego pana...





Niemal wszystkie ulice w Londynie przedziela na dwie części linja z pasków metalowych, regulująca ruch pojazdów...



Przedłużenie Fleet Street zasnuwa powoli mgła...

ZDJĘCIA FOT. DR. L. NAGLER. WARSZAWA.



Monumentalna postać Sfinksa nad Tamizą.



Fragment dzielnicy londyńskiej z kościołem św. Pawła w dzień deszczowy.



Charakterystyczny dyliżans pocztowy.

LUDZIE Z POD ŻAGLI



W. Karczewska na pokładzie jachtu „Szkwał" zajmuje się pracami „gospodarskiemi".

Piewca morza, Stefan Żeromski, widział je i czuł z brzegu. „Wiatr od morza" jest istotnie wiatrem „od morza", a nie „na morzu"... Zresztą Żeromskiemu o co innego chodziło i co innego było jego natchnieniem, co innego kształtowało jego pieśń o morzu, śpiewaną przez lądowych i po lądowemu myślących Słowian... Najwięksi nasi pisarze z pokoleń przedniepodległościowych zbliżali się do morza tylko z brzegu... Sienkiewicz w swoim „Latarniku" używa morza właśnie tylko jako tła, podmalowanie, konieczne akcesorja... Sieroszewski, mówiąc w „Oceanie" o morzu, tak samo do niego podchodzi. Ow ocean jest tu również tylko tłem, fatalną koniecznością, jedną z przeszkód, stających na drodze bohatera, lecz nie jest nawet wtórnym motorem, dającym impuls działania"...

Trudno odmówić słuszności powyższym uwagom publicysty marynistycznego i literata, autora powieści „Załoga", Bohdana Pawłowicza, i nie dodać, że ten stosunek naszej literatury do morza zmienił się dopiero w kilku ostatnich latach, gdy wkroczyli do niej młodzi pisarze, którzy morze znają nie z lektury i filmu, ale z dalekomorskich rejsów i zmagania się z groźnym żywiołem. Wkroczenie marynarzy-literatów i marynarzy-bohaterów do naszej poezji, powieści i literatury podróżniczej — to jedno z najsympatyczniejszych i najcenniejszych zjawisk polskiego życia społecznego i kulturalnego.

Dokumentem tego bogatym w szczegóły i przejrzyście wymownym, jest zwłaszcza świeżo wydana i świetnie przez wybitnego poetę i autentycznego marynarza, Zbigniewa Jasińskiego, opracowana antologja „Morze w poezji polskiej". Zawiera ona wiersze 63 autorów, a wśród nich prawdziwych marynarzy J. B. Rychlińskiego, St. Mioduszewskiego i in., oraz „najstarszego poety morza" gen. Marjusza Zaruskiego, którego „Sonety morskie", wydane w r. 1902 są pierwszym u nas zbiorem poezyj marynistycznych. Walory jednak emocjonalne i artystyczne zbiorów wierszy „Rejs do Rygi" i „Papierowym okrętem" każą ten tytuł przyznać ich autorowi, Jasińskiemu.

Gen. Zaruski, niestrudzony pionier żeglarstwa i pisarz-wychowawca, dziś kultywuje reportaże żeglarskie, których najświeższym tomem jest „Z harcerzami na „Zawiszy Czarnym". „Chciałbym tą książką przyczynić się do zrozumienia przez szerokie warstwy społeczeństwa idei morza i płynących stąd moralnych obowiązków jego względem młodzieży" — pisze autor we wstępie do doskonałej książki, przekonywująco udowadniając, że jego rejsy z młodzieżą są świetną „szkołą charakterów".

Reportaży morskich mamy już kilka: Władysława Wagnera „Podług słońca i gwiazd", będący pamiętnikiem wyprawy jachtem dookoła świata; Andrzeja Bohomolca „Wyprawa jachtem „Dal" oraz cztery wspomnienia z podróży szkolnego statku: Zbigniewa Rokocińskiego „Darem Pomorza" naokoło świata", kpt. Tadeusza Meissnera „Naokoło świata „Darem Pomorza", kpt. Stan. Kosko „Przez trzy oceany" i Fryderyka Kulleschitza „Rejs dokoła świata". Wszystkie „pachną aromatem dalekich lądów i wysp, szumią morzem, dają smak świata", ale książka Kulleschitza posiada jeszcze dobrą klasę literackiego tworzywa i wyraz psychologicznej głębi, zaco odznaczona została nagrodą im. J. Szareckiego (w r. 1936).

Jerzy Szarecki (ur. w r. 1910), już od szesnastego roku życia związał swe życie z morzem i wkrótce pływał na statku „Lwów", skąd jednak po roku wrócił poważni chory. Choroba zniszczyła go w 24-tym roku życia, ale jeszcze zdołał przedtem zabłysnąć jako wybitnemi zdolnościami obdarzony pisarz, autor zbiorów nowel i opowiadań „Groźny kapitan", „Na pokładzie Lwowa" i „Czapka topielca". Ojciec marynisty ufundował specjalną nagrodę jego imienia dla pisarzy-marynistów, którą w r. 1935 otrzymał Janusz Stępowski za poemat „Legenda o masztowej sośnie", a w roku bież. młodziutka autorka, poetka Wanda Karczewska, debiutująca świetną morską powieścią „Ludzie z pod żagli", odznaczoną właśnie wspomnianą nagrodą. Jury orzekło, że „utwór ten, o wysokiej wartości artystycznej, jest wybitną polską powieścią, dającą obraz morza, widzianego z żaglowca, oraz życia marynarzy w całem jego żywiołowem pięknie i grozie".

Wychowanka gimnazjum kaliskiego, studjowała następnie filologję na Uniwersytecie warszawskim, kształcąc się równocześnie w Wyższej Szkole Dziennikarskiej i wyruszając na jachtach dalekomorskich na rejsy zagraniczne, w charakterze nie turystki, ale marynarza. Żywioł morski i ludzi z pod żagli poznała z autopsji.

Powieść Karczewskiej jest pierwszym w naszej literaturze utworem, który stanąć może w najbliższem sąsiedztwie dzieł Conrada, jego wspaniałego „Zwierciadła morza". Przedewszystkiem urzeka czytelnika wysokiej klasy artyzm słowa. Pejzaże morskie, głęboko przez artystkę przeżyte, są odtworzone tak pięknym językiem poetyckim, subtelnemi barwami oddającym czar morza, to znów surowym, zwartym i mocnym w opisie żywiołów morskiego i ludzkiego, że będą zawsze należeć do najlepszych w naszej literaturze marynistycznej.

Mocno potrafiła Karczewska zarysować starcia dwóch żywiołów morskiego i ludzkiego, odmalować twarde, brutalne często charaktery ludzi, szkolonych przez morze do walki, ale i z kobiecą subtelnością podpatrzeć tajemnice ich wewnętrznych przeżyć. Bohaterami powieści są współcześni marynarze skandynawscy, z nimi jest jeden tylko Polak, ale ludzie na morzu i z morza żyjący są wszędzie do siebie tak podobni, że książka Karczewskiej jest także opowieścią o polskich marynarzach, tem szczęśliwszą, że pozbawioną taniej propagandowości. Dyskretnie i z dużym artyzmem ukazuje Karczewska Gdynię.

Najlepszą i najpiękniej opracowaną książką o naszym porcie jest „Na gdyńskim szlaku" Stanisława Zadrożnego, publikacja zapoznająca z pracą i znaczeniem marynarki handlowej. Ten podręcznik czyta się jak sensacyjny literacki reportaż.

Stan. Witold Balicki.



Na prawo: Jacht „Jurand" wśród norweskich fjordów.

Totem-kronika Indjan

Gdy badamy początki kultury różnych ludów, to dochodzimy do przekonania, że pierwszemi bodźcami do tworzenia zasadniczych pojęć o życiu były te same zjawiska i okoliczności. Człowiek od prawieków czuł potrzebę ujęcia w widoczną postać rzeczy, które go otaczały, zjawisk natury i stale powracających zmian w niej, własnych przeżyć radosnych i smutnych. Równocześnie dzięki obserwacji otoczenia człowiek pierwotny począł kojarzyć pewne cechy ludzkie i pewne zjawiska ze zwierzętami, które były jego najdawniejszymi towarzyszami lub wrogami. W ten sposób człowiek wszedł na drogę symbolów, które w miarę możności wyrażał rzeźbiąc w drzewie, wykuwając w kamieniu, Gdy orzeł wydawał się człowiekowi najpotężniejszym ptakiem, a lew najgroźniejszym zwierzem, gdy pies zyskiwał jego sympatję, dzięki swej wierności, a koń stawał się uosobieniem chyżości, człowiek pierwotny począł symbolizować te cechy widomemi obrazami.

Oto początki totemizmu. Ale miał on jeszcze daleko głębsze znaczenie. Chodziło bowiem nieraz nietylko o pewien symbol, ale wyobrażenie danego zwierzęcia łączyło się z wiarą, że w zwierzę to przechodzi dusza człowieka, a następnie, że zwierzę opiekuje się specjalnie rodem lub jednostką. W ten sposób z połączenia wiary w palingenezę, symbolistyki i kultu zwierzęcia powstał rodzaj religji pierwotnej, która pod względem artystycznym miała ciekawy wyraz, tworząc znane u Indjan amerykańskich, ale też gdzieindziej totemy.

Zasadnicze pojęcia, znajdujące się u źródła totemizmu odnaleźć możemy w starożytnym Egipcie, gdzie każde miasto czy prowincja miała swoje zwierzę opiekuńcze i poświęcone. Na wyspach Fidżi np. istnieją klany „wężów", a zjawisko to obserwować można również w Afryce, w południowej Azji i Australji. Oczywiście nietylko zwierzęta były bóstwami opiekuńczemi szczepu, niekiedy rolę tę spełniały gwiazdy i planety, niekiedy też rośliny, krzewy itd.

Przyjrzyjmy się totemowi 'Indjan amerykańskich. Dziwaczne kształty, niesamowite nieraz twarze lub zwierzęta o pewnych cechach ludzkich lub też odwrotnie (podobnie zresztą jak w egipskich zabytkach sztuki) zastanawiają każdego, kto dopatruje się w tych zabytkach nie przypadkowości, ale pewnej logiki. I tak jest w istocie: zwierzęta wyobrażone na palach totemowych są personifikacją zalet poszczególnych członków rodu lub jego samego, jako całości. Wiemy przecież, że Indjanie chętnie używają imion zapożyczonych od zwierząt, zwąc się „orłami", „jeleniami" itd. Jakież zwierzęta cieszą się tam największą popularnością? Otóż w totemach, będących niejako historją danego szczepu indjańskiego, znajdujemy niedźwiedzie, bobry, kruki, orły, wieloryby, narwale i wiele innych. Gdy w wiele wieków po powstaniu pierwszych totemów, społeczeństwo europejskie, idąc za odwiecznym instynktem symbolizowania pewnych zjawisk, poczęło tworzyć w średniowieczu obrazkowe pismo, tj. heraldykę, znów ujrzymy na tarczach rycerzy powracających z Ziemi Świętej te same i wiele innych zwierząt, które tym razem również będą symbolizować pewne zalety, przypominać o pewnych wydarzeniach w życiu jednostki czy rodu. Pojawią się wtedy już nietylko istniejące zwierzęta, ciała niebieskie i inne tematy, ale też nieistniejące w rzeczywistości.

Również w Europie odnajdujemy w różnych imionach momenty, przypominające nam wierzenia, które w skutku stworzyły totemy. Niemieckie imię Wolfgang, jak również wiele innych są dowodem, że przypisywano ludziom pewne właściwości spotykane u zwierząt, ale również u nas w Polsce niejedno nazwisko wskazuje na charakterystykę jednostki zapożyczonej od zwierząt. Orsiniowie rzymscy od czasów starożytnych pono szczycili się swą nazwą wziętą ze słowa niedźwiedź, „ursus". Niemiecka rodzina Hundt von Lauterbach w herbie i nazwisku łączy się z towarzyszem człowieka — psem. Wszystkie te fakty dowodzą, że ludzie gdziekolwiek by żyli, przenosili na swych bliźnich obserwacje poczynione na zwierzętach.

Dziś totemy są zjawiskiem ginącem i bardzo rzadkiem. Z jednej strony częściowe zeuropeizowanie Indjan amerykańskich, z drugiej wykupywanie totemów przez zbieraczy i muzea państwowe, spowodowały, że mało już tylko wsi indjańskich szczyci się temi rodzinnemi świętościami. Gdy na wielkim zjeździe Indjan w Banff (Kanada) zjawiają się piękne, smukłe postacie o miedzianych twarzach, ubrane w odwieczny strój Indjan, z piórami na głowie, na koniach o ciekawie zdobionej uprzęży, uroczystości te mają już niestety bardziej charakter popisu teatralnego lub kinowego, niż rzeczywistego życia. Indjanie giną, a z nimi ciekawe zabytkowe totemy, opowiadające niezrozumiałym dla nas językiem o ich pięknych dziejach.

Jan Maleszewski.



Na lewo: Na wyspie św. Pawła również spotyka się ciekawe totemy, sięgające dalekiej przeszłości.



Olbrzymi posąg kunsztownie rzeźbiony we wsi indjańskiej Vancouver w brytyjskiej kolonji Kolumbji,

R. Sennecke, Berlin.



Na lewo: Oto wysoce oryginalny posąg znajdujący się na wyspie św. Pawła.



Uliczka we wsi amerykańskich Indjan, którzy przed swoimi domami wznieśli kunsztownie nieraz rzeźbione posągi totemistyczne.

REKLAMA W STAROŻYTNOŚCI.



Szyld reklamowy wróżbity egipskiego. (IV w. przed Chr.)

Każdego, kto wieczorem przybywa do któregoś z wielkich miast Stanów Zjednoczonych uderza i wprost oszałamia bogactwo reklam świetlnych, jakiemi płoną olbrzymie wieże drapaczy chmur. Ma się wrażenie, że to niesłychanie wielkie zbiorowisko ludzkie, stłoczone śród tych gigantycznych obelisków, z żelaza, stali i szkła, obrało sobie reklamę za symbol swego ruchliwego życia. Amerykanie w swej gorączce złota, w pogoni za dolarem, w żądzy zawładnięcia całym światem rozumieją, że tylko przemysł im to umożliwi — a podstawą przemysłu jest — reklama. Patrząc na tę potęgę amerykańskiej reklamy, do której usług zaprzągnięto elektryczność, radjo, lotnictwo, a nawet piękność kobiety (jako fotografje reklamowe) — mimowoli przychodzi na myśl pytanie: — gdzie kres tej przedsiębiorczości? Co jeszcze służyć może w przyszłości celom reklamowym? Dzisiaj przecież sięgnęła już do chmur, na których wieczorem jakiś król smalcu czy wiecznych piór rzuca reflektorami napisy, zachwalające zalety swoich fabrykatów...

A jednak ta reklama, sztuka zdobywania klientów, którą uważa się za dziecko XIX czy XX wieku, w rzeczywistości jest o wiele, wiele starszą. Nowoczesna sztuka reklamowania, tak ważna, niemal niezbędna w dzisiejszem życiu gospodarczem, liczy wprawdzie niewiele dziesiątek lat, lecz owa osobliwa „sztuka" nie jest zbyt młoda. Zawsze przecież istnieli ludzie trudniący się wytwarzaniem towarów, jak i kupcy, pragnący najlepiej „podejść do kupującego". Używali oni wszelkich środków, stojących im do dyspozycji — a nierzadko z podziwienia godną zręcznością i darem wynalazczym umieli dla swych wytworów pozyskiwać klientów — czego dowodzą nam w zupełności liczne dokumenty z historji kultury i sztuki.

Oczywiście, że przed dwoma czy trzema tysiącami lat nie istniała, jak w późniejszych czasach możliwość zwielokrotniania drukiem i obrazami ogłoszeń. Trzy niemal wieki musiały upłynąć od wynalazku druku, zanim nauczono się używać go w większym zakresie, dla reklamy. Zawód wywoływacza, krzykacza jarmacznego, istniał również już w najodleglejszej starożytności, a do dzisiejszej pory przeżywamy go codziennie na ulicach i podwórzach, słysząc wywoływania sprzedawców i wszelakich handlarzy. W miejscach rozrywkowych, w kinie, a nawet w zaciszu domu własnego prześladuje nas płynąca przez radjo reklama. Ale obok ludzkich głosów, odkąd człowiek nauczył się czytać i pisać — zaistniał nowy środek — środek graficznej reklamy. Już w starym Egipcie, tak, jak dzisiaj pisane ogłoszenia bywały wywieszane na publicznych miejscach.

W Paryżu w Luwrze można widzieć między innemi ogłoszeniami jedno, obiecujące dużą nagrodę za ujęcie i przyprowadzenie zbiegłego niewolnika. W miejskiem muzeum berlińskiem znajduje się znowu papyrus, który zawiadamia o wydzierżawieniu gruntu przez władze państwowe.

W Grecji i Rzymie już w najdawniejszych czasach wszelkie ustawy państwowe i rozporządzenia władz były podawane do wiadomości zapomocą tablic. Również prywatni ludzie — jak dowodzą liczne odkrycia — posługiwali się tym środkiem, chcąc wynająć swe domy, zwabić klientelę do sklepów, by korzystnie sprzedać swe towary. W Pompei reklama doszła już do wielkiego rozkwitu. Rzemieślnicy, kupcy, rzeźnicy, piekarze, księgarze, artyści, a nawet wróżbici kazali sobie malować i rzeźbić szyldy do sklepów i plakaty reklamowe. Jako motyw brano często jakąś prawdziwą scenę z życia owego przedsiębiorcy. Ponieważ lawa Wezuwjusza zasypała miasto tuż przed komunalnemi wyborami, pozostało dla potomności z tego czasu bardzo wiele politycznych plakatów i napisów. Nie mniej jak 1600 haseł wyborczych z nazwiskami więcej, jak stu kandydatów doszło w ten sposób do naszej wiadomości... „Wszystko już było na świecie" — jak mówił wielki mędrzec arabski...

Z. K.



Płaskorzeźba znad sklepu rzymskiego wytwórcy sukna. Scena sprzedaży miała zachęcić widza do kupna.

Dokończenie z str. 5-ej.

starego z wystawy z 1878. Znikła sylwetka bezstylowego z wrażeniami jednak, jakie z Paryża wywoziliśmy dotychczas ściśle związanego pałacu. Piękne, ale ciche bulwary nad Sekwaną nie zdradzają, że zbliżamy się do centrum najwytworniejszej dzielnicy stolicy świata. Jest już wieczór — intensywniejsza tylko łuna ponad ciemnym szpalerem drzew zwiastuje, że za chwilę i my weźmiemy udział w misterjum „świateł wielkiego miasta".

Place de la Concorde wspaniała na miarę najnowocześniejszą zakrojona urbanistyczna kompozycja z okresu Ludwika XV J. A. Gabriel'a, tonie w powodzi świateł i znowu dwie tysiącem brylantów rozedrgane fontanny, na wodotryskach placu św. Piotra wzorowane nadają mu ostateczny wyraz, akcentując oś placu, biegnącą od wdzięcznej Madeleine po Izbę Deputowanych z drugiej strony Sekwany. Oczy olśnione blaskiem z trudem rozróżniają kontury wijącego się wężowemi skrętami, u stóp wodotrysku, szeregu sunących aut.

Szeroka avenue d'Observatoire kończy piękna fontanna, arcydzieło nieokiełznanego temperamentu Carpeaux, znakomitego rzeźbiarza trzeciej ćwierci wieku XIX. Z kręgu wyskakujących wodnych rumaków Fremiet'a wykwitają na wysokim postumencie cztery postacie niewieście uosabiające cztery części świata glob dźwigające.

Zazdrośnie strzegą groźne ściany Pirenejów piękna gorącej Hiszpanji, zazdrośnie strzegą wyniosłe mury pysznych pałaców zacisza swych ogrodów i ustronnych „patio". Żar słoneczny nieba przybranej ojczyzny inspiruje zmyślnym Arabom bardzo rozmaite pomysły. Woda staje się duszą nietylko ogrodu, ale i bogatego arabeskami wnętrza domu; chłodna wypływa z miniaturowej studzienki, marmurowym obramieniem przepływa pod arkadami zdobnych sal, by nikłym strumieniem zasilić rozległy już podwórzowy basen, by wreszcie wytrysnąć zdobną misternym układem połyskliwych kamuszków i szkiełek, fontanną. Sączy się woda pyskiem zastygłym bez ruchu lwów Alhambry, zwierciadła szklistych basenów odbijają smukłe kolumienki, ażury zawiłych ornamentów i mienią się kolorami barwnych mozaik. Ogrody z bogato wyposażonej Alhambry w Granadzie z XIII i XIV wieku się nie zachowały, niemniej o umiejętności operowania wartościami żywiołu wody przez twórców tego pałacu możemy sobie wyrobić niejakie zdanie z zachowanych „patio" i podwórzowych ogrodów, gdzie jasny strumień wodny pięknie uzupełnia ciemną zieleń cytryn, cyprysów i pinji. W ogrodach w starożytnej rezydencji królewskiej Maurów Generalife w Granadzie w rezydencji sąsiadującej bezpośrednio z Alhambrą architekt rozmieszcza po dwóch stronach kanału szereg wodotrysków, łuki ich zlewają się w kształt „sklepienia wodnego", słońce łamie się w niem jak w żywym pryzmacie, w bajkowe widmo tęczy.

Urokiem średniowiecza owiana stara Norymberga zawisła balkonami pochyłych domostw nad zgniło zieloną, leniwie toczącą wody rzeką, zawdzięcza miano „Brunnen stadtu" kilku pięknym wodotryskom stojącym zawsze w pewnym interesującym związku z architekturą placu, podwórzowego wnętrza małego i dużego „Rathhausu", wreszcie wśród domów zamożnych patrycjuszów. Większość około połowy XVI wieku, a więc w okresie początków renesansu niemieckiego wychodzi z warsztatów Hansa Vischera lub jego uczniów Labenwolff'a, Wurzelbauersa. Zewnętrzny ich renesansowy kształt nie ujmuje im nic z uroku średniowieczności, harmonizują one doskonale z duchową strukturą tkwiącego ciągle jeszcze w tradycjach gotyku mieszczaństwa Norymbergi.

Wśród najcenniejszych wymienić wypada „piękną fontannę" najstarszą, bo z XIV wieku pochodzącą i może najpiękniejszą z fontann na terenie Niemiec. Ustawiona w północno-zachodnim rogu rynku głównego króluje swą smukłą gotycką sylwetką w dni targowe nad ruchliwym tłumem okolicznych wieśniaków. Świadectwem umiłowania rodzajowych tematów będzie w bronzie odlany ujmujący „Dudelsackpfeifer" (Kobziarz) i Labenwolfa „Gänsemännchen" — dobrodusznie uśmiechnięty skromny wieśniak trzyma pod ramionami dwie gęsi, a każdej z dzioba tryska wąska smużka wody.

Na ziemiach polskich nie posiadamy tyle ciekawych pomników, świadczących o pomysłowości „architektów wodnych", co zagranicą. Wśród piękniejszpch jednak okazów tej sztuki trzeba wymienić dobrze skomponowany wodotrysk w parku miejskim w Bydgoszczy, przedstawiający Potop jak również fontannę na pl. Nowomiejskim w Poznaniu. Oczywiście, że każde z naszych większych miast posiada również wodotryski, ale kompozycja ich nie była zakrojona na zbyt wielką skalę i dlatego nie grają one pod względem dekoracyjnym większej roli.

Jakże szkoda, że dziewicza syrena Warszawy nie przeoblekła się w kształt artystycznej fontanny ku ozdobie Starego Miasta!

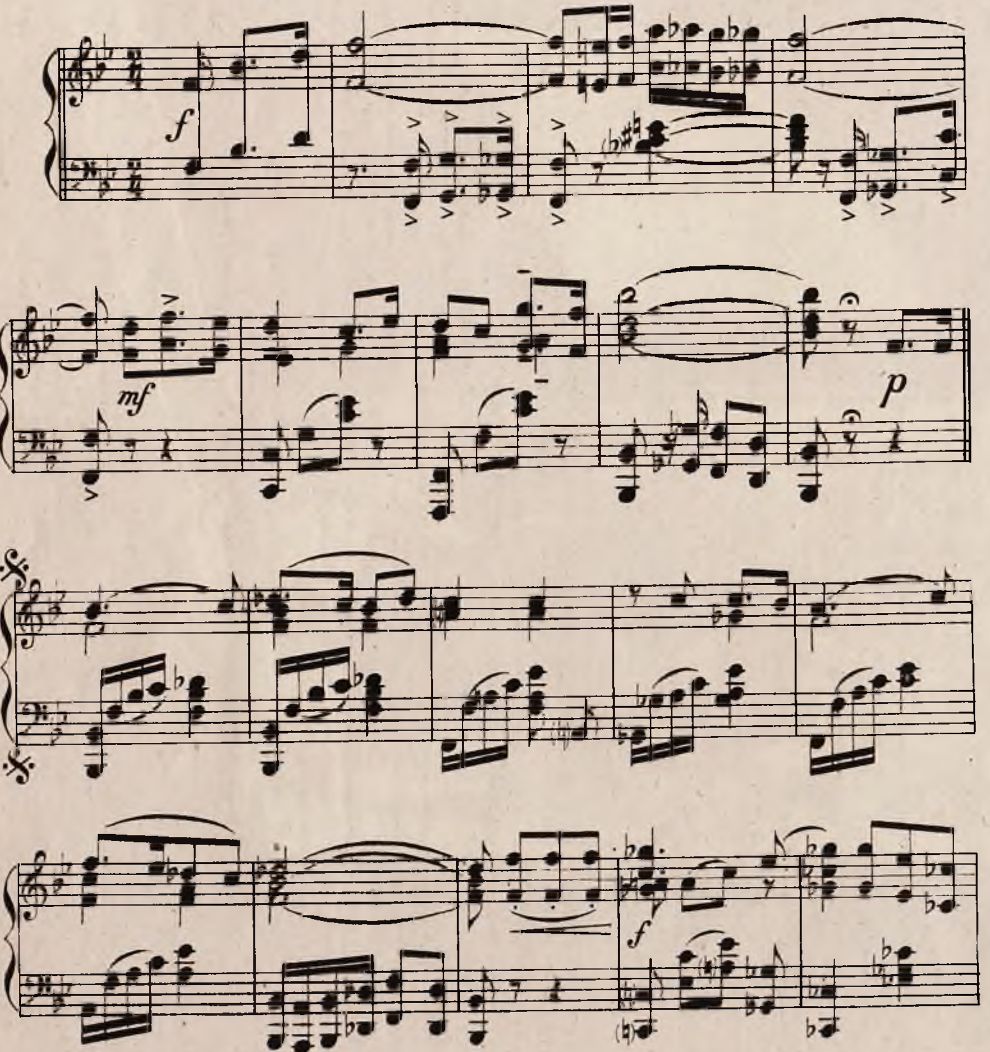
Ellen Marschalko.

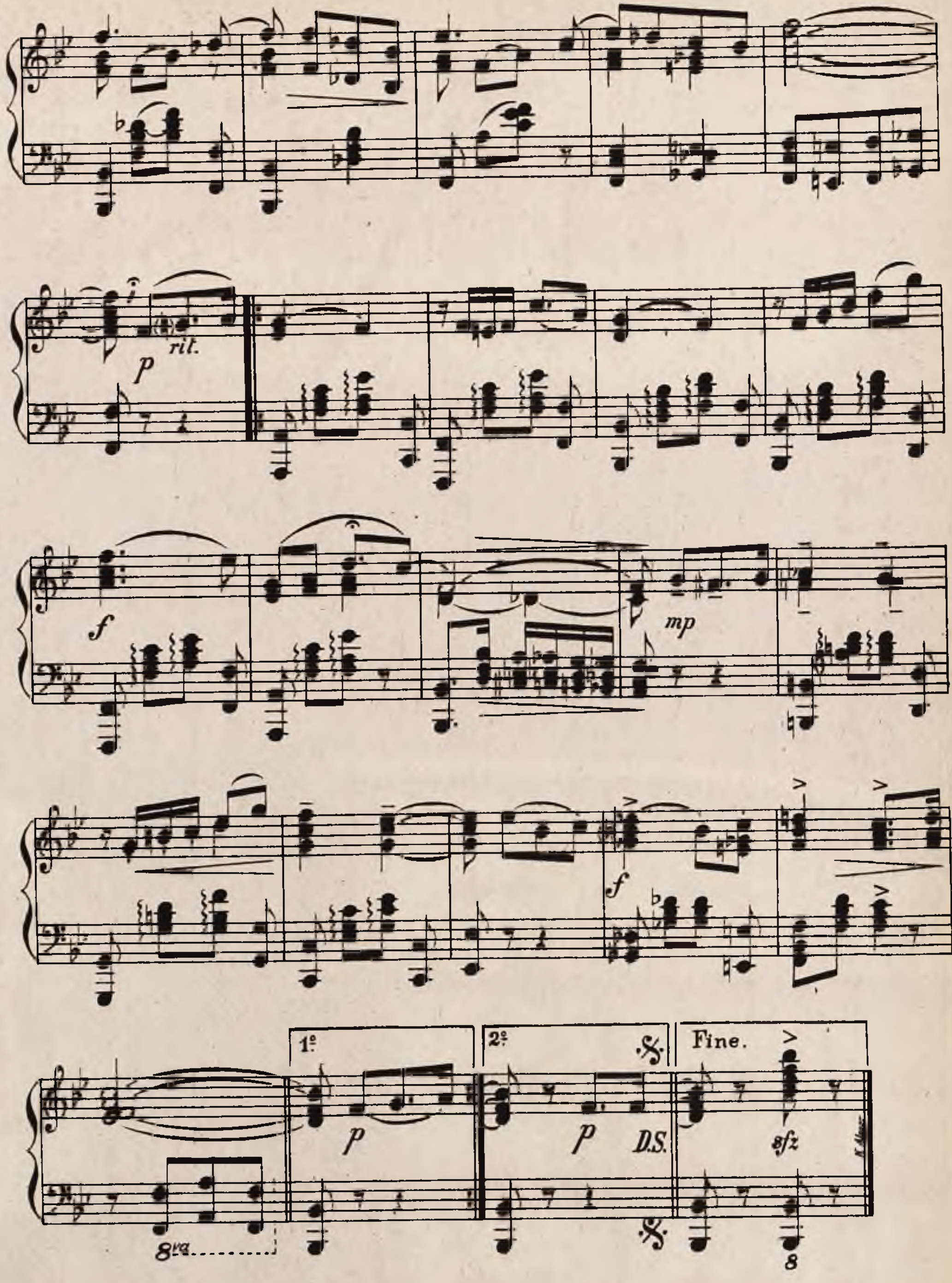


„Dla mojej Busi"

TANGO

KAROL ALSCHER (1937).





M. GARRICK

Spotkanie

NOWELA

Mistrz Andrzej trudnił się szczególnem rzemiosłem, które odosobniło go od reszty społeczeństwa, w jakiem się urodził i wyrósł. Wszyscy mieszkańcy miasta znali dobrze jego wysoką, barczystą postać, która pojawiała się w pewnych momentach na rynku, lecz omijali go zawsze z lękiem i odrazą, aczkolwiek mistrz Andrzej uchodził za człowieka dobrego i uczciwego. Jego dom, znajdujący się poza obrębem murów miejskich, porośnięty od piwnic do dachu bluszczem, o wąskich, wysokich oknach, budził w mieszkańcach miasta zabobonny lęk i nie było chyba jednego człowieka, któryby przechodząc mimo, nie przeżegnał się ukradkiem, spiesząc zaraz w inną stronę.

Dlaczegóż tedy dom mistrza Andrzeja cieszył się tak złą sławą? Dlaczego każda mieszczka, każdy żak, każdy żołnierz, przechadzający się o zmierzchu długą aleją, opasującą podwale grodu, z takim pośpiechem omijał tę mocną, niewielką budowlę z czerwonej cegły, do której przyparły się zabudowania gospodarskie, w których pono mistrz Andrzej doświadczał nowych sposobów, jego smutną sławę rozgłaszających?

Mistrz Andrzej był wykonawcą wyroków sądowych. Rzemiosło katowskie, jakiem się trudnił od lat zgórą trzydziestu sprawiło, że ludzie odsuwali się od niego, choć widywano go stale w kościele, choć wiedziano, że przestrzega postów, że daje jałmużny, że jest dobrym ojcem i zacnym mężem.

Kiedyś — ojciec Andrzeja, Melchior, także był katem, u schyłku swego życia napróżno szukał w mieście takiego, ktoby po nim mógł zostać dziedzicem wielkiego, ciężkiego miecza, dobrze znanego wszystkim mieszczanom z momentów, kiedy mistrz Melchior odziany w szkarłatny, powłóczysty płaszcz, wolno wstępował na rusztowanie, by dopełnić ostatniego aktu sprawiedliwości ludzkiej.

Mistrz Melchior wysłał był swego pierworodnego syna, Andrzeja, na nauki do Norymbergji. Chłopak uczył się pilnie, został bakałarzem scjencyj lekarskich i aptecznych i pełen najlepszych nadziei przystąpił do egzaminu, który miał się zakończyć jego promocją na doktora.

Nie złożył go jednak. Nie dopuszczono go doń, albowiem był synem kata. Napróżno błagał profesorów, by mu pozwolili zdawać, przysięgał, że zawód ojca ani mu w głowie, że chce pracować, dokonując zbożnego dzieła niesienia ulgi cierpiącym i chorym. Nic nie pomogło — wrócił do rodzinnego miasta zbolały i złamany na duchu. Stałe drwiny kolegów uniwersyteckich, powstrzymywane uśmieszki, docinki i szyderstwa sprawiły, że Andrzej, tak zawsze pogodny i miły, stał się teraz zacięty, chmurny i zamknięty w sobie. Kiedy Melchior zmarł, przyszło pismo z rady miejskiej do Andrzeja, mianujące go następcą ojca i dziedzicem miecza katowskiego w rodzinnym grodzie. Ano — cóż miał czynić? Musiał się zgodzić.

Ale zawód swój wykonywał ze wstrętem i odrazą. Jedyną pociechą dlań było, że mimowoli musiał być lekarzem, ponieważ tylko on sam mógł opatrywać nieszczęsnych skazańców po „pierwszych, drugich i trzecich badaniach". Wszak żaden lekarz nie opatrywałby człowieka, shańbionego dotknięciem ręki katowskiej, by nie zarazić się przekleństwem, które nad Andrzejem wisiało. Toż Andrzej sobie przypomina, że gdy raz, nad rzeką, wyratował z topieli jakąś kobietę, ta, spojrzawszy w jego oblicze, krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się zpowrotem w wodę, bo jakżeż jej było żyć z tą wieczną hańbą, że ją *m i s t r z* wydarł śmierci.

Leczył tedy chorych, nastawiając wywichnięte torturami członki, opatrując krwawiące rany, razy i oparzenia. Doszedł do takiej biegłości, że posiadał cały szereg przepisów i sposobów, wyrabiał leki, maści i eliksiry, działające szybko i nezawodnie. To też coraz częściej się zdarzało ,że nocą wzywano go do pomocy, Boże uchowaj w dzień — jeszczeby kto zobaczył!

Pewnego razu, kiedy mistrz Andrzej układał się był już do snu, rozległo się przy drzwiach ciche pukanie; zwlókł się z łoża, bo strudzony był setnie — opatrzył właśnie czterech mieszczan, oskarżonych o zmowę z siłami nieczystemi, które im miały pomagać przy wyrobie złota — ciężko powłócząc nogami, otworzył drzwi.

Na progu stała stara kobieta, otulona płaszczem, z poza którego wymykały się kosmyki siwych włosów. Wyglądała, jak wiedźma.

— Mistrzu Andrzeju! — powiedziała lekko drżącym głosem — oto macie sakiewkę złota. Dostaniecie drugą, jeśli pośpieszycie za mną do domu mego pana, szlachetnego Tomasza Vitiusza...

Tomasz Vitiusz? Andrzej znał to imię. Tomasz Vitiusz, poprostu Tomasz Wit, był jego kolegą z Akademji w Norymberdze, sławnym lekarzem, którego porad zasięgali co najzacniejsi obywatele grodu. Wzrósłszy w sławę, przybrał łacińskie nazwisko, jak to było w modzie i leczył możnych panów, dziedziców i możnowładców, gromadząc dukaty i talary. Z całego kraju zjeżdżali doń pacjenci, szukając rady i ulgi w cierpieniach. Ale w Norymberdze Tomasz Wit nie cieszył się szczególną opinją wśród swych kolegów. Był zawistny, skąpy i chytry. Szczególnie Andrzej wiele się odeń nacierpiał z racji swego niegodnego pochodzenia. Stale szczuł przeciw Andrzejowi, przeczuwając w nim w przyszłości groźnego rywala. Dzięki protekcji jego ojca, Andrzej musiał porzucić umiłowane studja i powrócić do hańbiącego rzemiosła katowskiego. I teraz, teraz właśnie przysyła po niego, po *k a t a*, by mu ulżył w cierpieniach? O, nie! nigdy! Niech zdycha, jak pies nędzny! Jemu, wrogowi, który stale knuł przeciw znienawidzonemu synowi mistrza Melchiora — on, Andrzej miałby pomóc?

— Cóż dolega waszemu szlachetnemu panu, Tomaszowi, dobra kobieto — zapytał siląc się na spokój.

— Bóg jeden wie! Ponoć rana, którą mu lat temu dziesięć zadano, znowu się otworzyła. Cierpi strasznie, krwi tyle zeń wyciekło!

— Nic nie szkodzi! — pomyślał — Andrzej. — Zadam mu lek taki, co ból uśmierzy — powiedział głośno i cień jakiś przebiegł mu po twarzy. — Zaczekajcie chwilę, jeno potrzebne leki przyniosę...

— Zadam ci coś takiego, Tomaszu — rozmyślał, szukając w swej apteczce — że skończysz swą praktykę, o tak! Mam ja tu dość środków rozmaitych, byś pamiętał dobrze Melchiorowego syna, z któregoś drwił i szydził. Niechże ci to Bóg przebaczy! Ludziom i tak nie powiesz, żeś pomocy szukał u *k a t a*?!...

Szedł, jak zwykle pochmurny i zamyślony, niosąc pod pachą zawiniątko ze swemi przyborami. Kobieta dreptała obok niego, plotąc bezustannie:

— Syn szlachetnego Tomasza także jest lekarzem, na dzień Świętego Piotra i Pawła został doktorem mianowany; chlachetny pan mój, Tomasz Vitiusz wysłał go do Bolonji, by tam poznał naukę rychłego leczenia ran. Łacno zostanie sławnym medykiem, jak i jego ojciec...

Minęli szereg uśpionych, wąskich uliczek, po których snuli się zrzadka nocni stróże. Księżyc oświetlał jasno drogę. Ciszę nocną przerywał jedynie odgłos kroków po kamiennych płytach ulic. Doszli wkońcu do domu Tomasza. Służebna wprowadziła Andrzeja do obszernej komnaty, w której na łożu spoczywał chory. Andrzej pochylił się nad nim.

— Powiedziano mi, że jesteście biegłym chirurgiem, panie... — ciężko wyrzęził Tomasz. — Jakie jest wasze miano?

Andrzej nie odpowiedział. Oto leżał przed nim kształt ludzki, cień człowieka, który stał się przyczyną jego nieszczęścia, widmo, którego wspomnienie prześladowało go od czasu haniebnego powrotu z Norymberji, ten człowiek, który doprowadził go do poniżającego rzemiosła, który zapomocą swych intryg i bezustannego szczucia sprawił, że Andrzej stał się najbardziej pogardzoną jednostką, wyrzuconą poza nawias społeczeństwa, ten człowiek leżał teraz przed nim, złamany cierpieniem w oczach Andrzeja szukał pokrzepienia i pomocy w swym bólu.

Oglądnął ranę. Była zastarzała, a więc mógł ją leczyć. Rozwinął swój tłumoczek. Wyjął zeń kilka słoików i flaszeczek, patrząc w nie uważnie pod skąpe światło lampy, rozpraszającej mrok nocy.

Trzymał w ręku właśnie flakonik, zawierający groźną truciznę, której niedostrzegalny ślad wystarczyłby do zabicia człowieka. Patrzył naprzemian to na chorego, to na fiolkę. Wyjął czystą szmatę i pokropił trucizną. — Teraz, gdy to przyłożę do rany... Tomasz przestanie być moim konkurentem — na zawsze...

I nagle zdjęło go obrzydzenie. Ten łachman ludzki — to nędzne stworzenie, miałoby zginąć z jego ręki? Nie, to zaprawdę byłoby niegodne mistrza Andrzeja...

Odrzucił precz skropioną trucizną szmatę. Wyjął nowy kawał płótna, rozsmarował na nim trochę jakiejś ciemnej, cuchnącej maści i przyłożył na zranione miejsce.

— Krajać nie mogę... — powiedział miękko i łagodnie — To... powinno szybko się zgoić. Wszak lepiej popróbować, panie, środków zewnętrznych, niż pozbawić was nogi...

Istotnie, środek, zaaplikowany przez Andrzeja, mógł sprawić jedynie chwilową ulgę w cierpieniu. Rana, leczona przez niedoświadczonych medyków, poczęła ropieć i groziła zakażeniem, które zresztą opanowało już prawie całą kończynę.

— Zaprawdę sprawiliście mi ulgę, panie... — powiedział słabym głosem chory — raczcież mi powiedzieć, kim jesteście, bym wiedział, komu mam dziękować za ulgę i pomoc?

— Dziękujcie Bogu, panie! — odpowiedział Andrzej. — Ja jestem tylko Jego niegodnem narzędziem, które spełnia zarówno rolę karzącą, jak i uśmierzającą ludzkie cierpienia...

— Karzącą, powiadacie? Jakże to być może?

— Złość i zawiść ludzka sprawiła, żem został odtrącony od tego zawodu, jaki miałem wykonywać... Chciałem nieść ulgę cierpią-

cym i chorym, ale zazdrość i chęć wywyższenia bliźnich sprawiła, żem się stał człowiekiem, który, jak złoczyńca, chodzić musi z zakrytą twarzą, w nocy, by go nikt nie ujrzał, by odeń nie uciekano, by nie stroniono, by nie gardzono tak mną i memi dziećmi, jak gardzono mną wtedy, kiedym z tobą, Tomaszu Wicie studjował naukę lekarską w Norymberdze...

— Ty... ty jesteś Andrzejem? — zatrzepotały się pełne lęku i przerażenia słowa —. Ty... jesteś mistrzem Andrzejem? Tyś mi przyniósł ulgę w cierpieniu? Ty, któryś przeze mnie musiał iść precz z Akademji, by stać się przedmiotem pogardy i lekceważenia... Błogosławiony bądź, kacie Andrzeju, albowiem jesteś prawy i szlachetny...

— Niech ci Bóg moją krzywdę przebaczy, bo ja ci już przebaczyłem... — odpowiedział Andrzej, pozostawiając oniemiałego w trwożnem skupieniu Tomasza.

Wracając do domu, przekradał się wąskiemi uliczkami, na których szary przedblask świtu kładł pierwsze jaśniejsze plamy światła. Cisza panowała dokoła. W rynku zauważył stos belek, przygotowanych do wzniesienie jutrzejszego szafotu. Coś pisnęło pod nogami. Spojrzał wdół. U jego stóp leżało małe kociątko, nawpół jeszcze ślepe; podniósł je, pogładził i ukrył między fałdami obszernego płaszcza. Potem zawrócił w lewo i pośpiesznie począł iść w stronę swego czerwonego domu...

Kaci mogli opatrywać jedynie zastarzałe rany. Świeżych ran nie wolno im było opatrywać.

Dramat Profesora Kwanta

ZBIGNIEW ZAJĄCZKIEWICZ — NOWELA

Profesor Kwant był nietylko wykładowcą matematyki, był wcieleniem skomplikowanej figury geometrycznej, postacią skleconą z cyfr i znaków, uosobieniem najpa radoksalniejszego wzoru, nie mającym nic wspólnego z życiem przeciętnej, szarej istoty. Złośliwa fama mówiła, że nie potrafi zrobić najprostszego zapisu bridge'owego, nie jest w stanie nigdy przeliczyć reszty wydawanej przez pedlową po spożyciu drugiego śniadania, gdy fantastyczny rachunek różniczkowy przeprowadzał z przymkniętemi oczami, myśląc zapewne o czem innem. Może o sposobie rozwiązania kwadratury koła.

Chwycił dwoma brudnemi palcami kawałek kredy i kilkoma energicznemi kreskami, pełnemi zgrzytu paznokci, stworzył na tablicy graniastosłup, zdający się wychodzić z czarnej plamy tła na salę. Identyczny graniastosłup zawiesił plastycznemi ruchami w przestrzeni. Kwestja jego istnienia gdzieś między pierwszą ławką, a oknem na wysokości półtora metra nad podłogą nie mogła ulegać najmniejszej wątpliwości.

Skoczył wbok rozczochrany, zgarbiony, podobny nie do człowieka, a raczej do monstrualnego ptaka wpatrzonego zaczerwienionemi oczami w czwarty wymiar, tylko dla niego istniejący. Kilka sekund dyszał, wyjął z kieszeni kamizelki czerwoną kredę i rzucił się na tablicę.

Czerwony ostrosłup przebił graniastosłup, znacząc ślady przeniknięcia idealnemi, pozbawionemi najmniejszych zadraśnięć różowemi bliznami. Potem odszukał figurę sferyczną i przeprowadził ten sam proces w powietrzu.

Odsunął się na palcach pod ścianę.

Wszelka dyskusja była wykluczona. Oba układy były nietylko zrozumiałe, były poprostu namacalne.

Nawet Mariola Wańska jest w stanie wytłumaczyć obecnie wszyskim swoim koleżankom znaczenie każdej ciągłej linji, każdego kreskowanego śladu, każdego punktu. Ale za pół godziny odezwie się dzwonek i razem z nią pryśnie cała zdobyta na tej lekcji wiedza. Potem Mariola już nigdy nie zrozumie dlaczego, poco, jak?

Ogarnia ją wściekłość tak ogromna, że doznaje zawrotu głowy. Zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, że nie ma kompletnie pamięci matemaycznej, że nigdy nieprzedyskutuje najłatwiejszego równania drugiego stopnia z dwiema niewiadomemi. I wie również, że nigdy nie będzie jej to w życiu potrzebne. Konsrwatorjum i matematyka! Śmieszne!

Wytłumaczyć profesorowi Kwanowi, że nieumiejętność rzutowania figur na trzy płaszczyzny nie może jeszcze stawiać pod znakiem zapyania dojrzałości do studjów wyższych! Że szanuje matematykę, że połowę czasu przeznaczonego dziennie na naukę jej poświęca i że nienawidzi jej!

Kwant zakrztusił się. Wyciągnął czerwoną chustkę, przyłożył do ust i podreptał w stronę katedry.

Figury zawieszone w powietrzu spłynęły z promieniem słońca na podłogę.

Kwant zawsze pod koniec roku szkolnego używał chusteczek jaskrawo czerwonego koloru. Nie lubił widoku krwi, korej plamy tak ostro występowały na białem tle.

Pozwolił sobie na nielojalność w stosunku do słuchaczek. Uciekł na chwilę myślą z dusznej sali wypełnionej przesianemi słońcem miljardami małych, niebezpiecznych pyłków.

Jeszcze trzy tygodnie. Matura. Rozdanie świadectw i parę miesięcy spokojnej, radośnie zwierzęcej wegetacji na wsi.

Krowy. Konie. Małe, śmieszne kaczęta, przewracające się na niezdarnych nóżkach. Zapach świeżej ziemi, dojrzałego zboża i zielonego lasu. Uczucie doskonałego zadowowolenia, świadomość, że maleńkie ranki w płucach zasklepiają się na cały, długi, następny rok.

Schował chustczkę do kieszeni.

— Panna Wańska rozumie? —

Mariola podniosła się.

Zachęcił ją bladym, nieśmiałym uśmiechem. Lubił tę zdrową, ładną dziewczynę tak daleką od jego matematyki, jakim on był w stosunku do jej muzyki. Zresztą nie miał jej tego za złe. Wystarczało mu, że zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje na lekcji, że nadąża za tokiem wykładu. Pamiętać tego wszystkiego nie trzeba, poco ma przeciążać umysł rzeczami, które jej do szczęścia, czy poprostu zapewnienia sobie bytu, są zupełnie zbędne.

Wańska patrzyła niechętnie na blat stolika.

— Nic nie rozumiem. —

Profesor Kwant zastygł z szeroko owartemi ustami i tym nieśmiałym uśmiechem, który na przerażonej twarzy nabrał błazeńskiego wyrazu.

— Nic nie rozumiem, panie profesorze.

Któraś z koleżanek szturchnęła ją w łokieć. Mariola nie zwróciła na to uwagi. Musiała wyładować całą swą nienawiść na tego człowieka, dla którego wzory są niezastąpionemi prawdami życiowemi, koszmarne bryły i figury, przyjaciółmi i towarzyszami. Herold, niewolnik ohydnej matematyki.

— Nie rozumiem. Chcę rozumieć, ale pan profesor tak niejasno tłumaczy, że pomimo najszczerszych chęci nie wiem, o co panu profesorowi chodzi. —

Siadła, czując, że za chwilę wybuchnie dziecinnym, głupim płaczem.

W klasie panowała grobowa cisza. Słychać było dzwonki tramwajów, zgrzyt opon samochodowych dartych na asfalcie, klaksony, syreny. Przez okno wpełzł ostry, niemiły zapach spalonej benzyny.

Kwant siedział nieruchomo z twarzą ukryą w dłoniaah.

— Ja... ja bardzo panią przepraszam... ja myślałem... byłem przekonany, że panie rozumieją... staram się... —

W płucach coś gryzło.

— Ja... powtórzę jeszcze raz.

Długo wycierał tablicę mokrą gąbką, nie zwracając uwagi na strugi mętnej, brudnej wody, spływające na ręce, na ubranie.

Ujął drżącemi palcami kredę.

Rysował wolno drugi graniastosłup. Kąty były nierówne, krawędzie faliste, cała figura płaska, bez wyrazu. Niepewnemi ruchami rąk nakreślił kilkanaście linij w powietrzu. Między pierwszą ławką, a otwartem oknem zawisła niekształtna bryła, twór fantazji, mogący być równie dobrze graniastosłupem, jak geoidą.

Kwant przeciągnął spoconą dłonią po czole.

Rzucił się, jak furjat z rozczapierzonemi rękami na tablicę i jednym zamachem zmazał groteskową figurę.

Wrócił niepewnym krokiem na katedrę.

— Bardzo... bardzo mi przykro... —

Chciał jeszcze zapytać Wańskiej, czy naprawdę nie rozumie. Albo której innej. Jest ich tyle.

Podniósł głowę i zobaczył kilkanaście par czarnych i niebieskich oczu. Była w nich obojętność, ciekawość i... litość.

Ostry głos dzwonka przerwał ciszę.

wziął teczkę i chwiejnym, starym krokiem

Profesor Kwant podniósł się z krzesła, wyszedł z sali.

W kancelarji zdjął z wieszaka kapelusz, zabrał stojący w kącie parasol i nie żegnając się z nikim, zamknął za sobą drzwi.

Nie myślał. Szedł wolno, ostrożnie, uważając, żeby się nie potknąć, nie przemęczyć. Był przecież bardzo stary i badzo zmęczony. Chory.

Na drugi dzień nie poszedł do gimnazjum. Wysłał przez służącą sąsiadów list do przełożonej. Starego doktora kolegę, przyjął z uśmiechem. Rozumieli się dobrze. Doktór radził wyjechać natychmiast na wieś.

Profesor Kwant kiwał głową bez przekonania. Obaj mieli rację.

Napisał prośbę o przeniesienie na emeryturę.

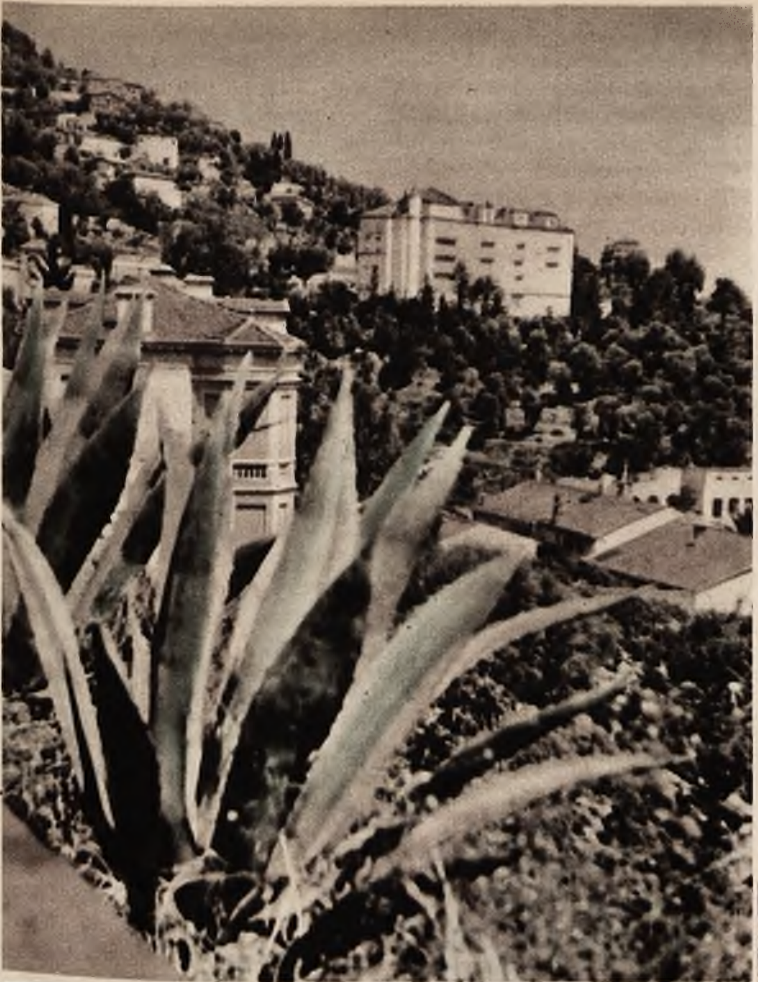
Parę tygodni później siedział na ławce w parku, przyglądając się rozczochranym dzieciakom, tarzającym się w piasku.

Z alei wyszła Mariola Wańska z młodym człowiekiem w mundurze oficerskim. Była w kapeluszu. Widocznie zdała maturę.

Podniósł się i zdjął kapelusz.

Nie poznała go.

GRASSE
MIASTO PERFUM



Miasteczko Grasse położone jest amfiteatralnie...



Na lewo: Zbieranie kwiatów na polach w okolicy Grasse.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA „SENSATION" — MARSYLJA.

W odległości kilku godzin podróży koleją od Nicei, od Monte Carlo i od Cannes leży idylliczne miasteczko Grasse, w którego 35 fabrykach powstają perfumy dla całego świata. Dokoła roztacza się widok na około 26.000 ha pól, pokrytych wyłącznie kwiatami: kwitną tutaj róże, narcyzy, goździki, konwalje, mimozy, glicynie, kamelje, bez, fiołki i złoty lak. Już z oddali przechodnia oszołamiają cudowne wonie, przenikające całą atmosferę. Piękno tych okolic jest nie do opisania na wiosnę i w lecie, a nawet w jesieni zachwyca różnobarwność szczepionek i kwiatów jesiennych.

Lecz nie zachwytom i poetycznym opisom służą te pola kwiatowe: uprawia się tu kwiaty, jak gdzieindziej zboże... dla codziennego chleba. Hoduje się je i uśmierca, aby wycisnąć z nich perfumy. Z 12.000 kg róż uzyskuje się zaledwie litr esencji różanej.

W „kuchniach" perfumowych, istnych czarnoksięskich laboratorjach, można obserwować powstawanie perfum, nie wnikając w tajemnice recepty. Jest ona najściślejszą tajemnicą „panów kucharzy", a raczej chemików laboratorjum, którzy są wprawdzie bardzo mili i szarmanccy, nie uległiby jednak uśmiechowi najpiękniejszej kobiety, pragnącej wydobyć ich sekret.

Naogół wiadomo, że 35 fabryk perfum w Grasse posługuje się 3 metodami uzyskiwania perfum. Pierwsza polega na destylacji: w gigantycznych kotłach parowych destyluje się kwiaty przy bardzo wysokiej temperaturze, a parę wodną skierowuje się do kondensatorów. Tam osadza się ona jako olej kwiatowy. Druga metoda jest to t. zw. „enfleurage", wynaleziona w Grasse w minionem stuleciu. Polega ona na wyeliminowaniu zapachu kwiatów przy temperaturze niskiej, odpowiadającej temperaturze topnienia tłuszczów. W laboratorjum znajduje się setki małych, czworobocznych misek, których szklane dno pokryte jest warstwą tłuszczu. Do tego tłuszczu wkłada się kwiaty, codziennie świeże. Trwa to przez dwa miesiące. Gdy tłuszcz jest już całkowicie nasycony zapachem kwiatów, nasyca się nim alkohol, który wchłania zapach. Z pozostałego tłuszczu wyrabia się wspaniale woniejące mydełka.

Trzecia metoda uzyskiwania perfum, najnowsza, bo odkryta przed 35 laty, jest również dziełem chemików w Grasse. Jest to postępowanie, polegające na „ekstrakcji". Kwiaty zanurza się w chemicznym rozczynie, przeważnie w naczyniu napełnionem naftowym eterem, następnie w połączeniu z alkoholem pozbawia się je woni, którą koncentruje się w zbiornikach, pozbawionych powietrza.

Uzyskane w ten sposób esencje w drodze rozmaitych metod postępowania, przechowuje się w rezerwoarach przez 10, 20, a nawet 50 lat. Rezerwoary znajdują się w dużej odległości od właściwych fabryk, aby na wypadek eksplozji nie uległy uszkodzeniu. W przeciwnym razie musiałby cały przemysł fabrykacji perfum w Grasse ulec przerwie na dziesiątki lat. Podczas gdy esencje kwiatowe spoczywają w olbrzymich zbiornikach, pracują chemicy. Pierwszym warunkiem użyteczności chemika w fabryce perfum jest jego... nos! Musi on być niezwykle czuły i wrażliwy na wonie, a zaleta ta jest tak ceniona, jak u chirurga wrażliwość i delikatność palców. Powonienie chemika w Grasse służy mu bowiem do „wyczucia" delikatnych, nowych mieszanin zapachów. Szczęśliwie dobrana mieszanina staje się często podstawą fortuny właściciela waż-

Poniżej: Owoc ciężkiej pracy „fabrykantów zapachów" jest nieodłącznym przyjacielem pięknej kobiety.





Olbrzymie ilości kwiatów potrzebne są, by wydobyć z nich choćby kilka tylko kropel esencji.

liwego nosa. Naogół rozpoznają mieszkańcy Grasse doskonale poszczególne odcienie zapachów. Wzrastają przecież w tej atmosferze, a jeżeli sami nie są chemikami w czarnoksięskich kuchniach perfumowych, czyli w laboratorjach fabryk, to posiadają w nich mężów, ojców, braci, siostry itd. To też nawet dzieci używane są codziennie do zbierania kwiatów na bezkresnych polach kwiatowych. Kobiety, przepojone zapachem płodów tej ślicznej ziemi, osłaniają uśmiechnięte twarzyczki olbrzymiemi fantazyjnemi kapeluszami ze słomy, chroniącemi je od promieni południowego słońca. — Śpiewają, pochylając się harmonijnemi ruchami nad śnieżnem polem narcyzów i konwalij, nad pluszowemi zagonami fiołków, nad pióropuszami liljowych bzów. Śpiewają, chociaż i tutaj dotarł kryzys i do bram tego wonnego, romantycznego miasteczka wciska się echo ekonomicznych przewrotów.



Poniżej: W tych olbrzymich metalowych rezerwuarach przechowuje się esencje kwiatowe przez dziesiątki lat, podobnie jak wino.

Dziennie zbiera pracownica w Grasse mniejwięcej 4 kg kwiatów. Aby zdobyć litr perfum, trzeba zebrać około 300 kg. A zatem — o gorzka ironjo losów! — zbieraczka kwiatów w Grasse musi pracować wytrwale przez 90 dni, aby inna córa Ewy, wytworna dama wielkiego świata, nasycała powonienie swego otoczenia zapachem perfum.

Lecz tak już jest świat urządzony, zwłaszcza w ostatnich stuleciach, że nie siła rąk zapewnia fortunę, ale głowa. W Grasse wystarczy mała część głowy, tj. nos! On to zapewnił byłemu pracownikowi w Grasse, słynnemu królowi perfum Cotty'emu olbrzymią fortunę i stanowisko króla perfum w świecie, a nawet wpływ na politykę państwa jako królowi prasy. Co pewien czas „ulatnia się" w świat nowa, odurzająca koncepcja zapachów, nowy poemat woni kwiatowych. W ostatnich czasach używa się domieszek chemicznych, zaostrzających wonie kwiatowe i nadających im drażniącą, „pikantną" nutę.

Nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że miasto Grasse posiada konkurencję w „kwiatowych miastach" na Kaukazie, w Turcji, w Bułgarji, i w Kalifornji. W Bułgarji kwitnie przedewszystkiem uprawa róż w celu fabrykacji olejków różanych. W Turcji produkuje się olejki rozmaitych kwiatów. W obydwu tych krajach posługują się fabrykanci starą, domową metodą uzyskiwania esencyj olejkowych głównie z róż. Wprawdzie wynaleziono przed kilku laty metodę wytwarzania namiastki woni różanej, która jako tańsza i wygodniejsza stanowi dla Bułgarji żywą konkurencję, lecz fabrykanci bułgarscy, chociaż niektórzy są materjalnie zrujnowani, nie tracą nadziei, że przemysł perfumiarski wróci do posługiwania się autentycznemi olejkami różanemi.

Nadzieja ta jest tembardziej uzasadniona, że w ostatnich czasach powiększyła się skala zapachów różanych o kilka nowych gatunków królowej kwiatów. Tak n. p. udało się pewnemu hodowcy w Kalifornji, również w klasycznym kraju róż, wyhodować olbrzymie drzewa różane, z których poszczególne egzemplarze dochodzą do 4 metrów wysokości, a jeden osiągnął już 6 i pół metra i w okresie kwitnięcia przedstawia fantastycznie piękny widok. Z jednego takiego drzewa można zebrać więcej kwiatów, aniżeli z kilku grządek krzaków różanych.

Ostatnio nadeszła wiadomość ze Santa Barbara w Kalifornji, że udało się tam pewnemu badaczowi w dziedzinie hodowli kwiatów nazwiskiem Schoener wyhodować kruczo czarne róże o odurzającym, nieznanym dotychczas zapachu. Wobec tego, że odwieczne marzenie ogrodników jest już faktem dokonanym, skorzysta z tego przemysł fabrykacji perfum i „czarne róże" będą zapewne wkrótce najmodniejszemi perfumami. Wątpić należy, czy Schoener zdradzi swą tajemnicę hodowcom europejskim, zwłaszcza francuskiej centrali perfum kwiatowych w Grasse. Prawdopodobnie będzie wolał sam ciągnąć olbrzymie korzyści ze swojego dzieła, istotnie godnego podziwu.

Moda indywidualnego perfumowania się przyczyniła się znacznie w ostatnich latach do rozdrobnienia metod fabrykacji perfum i do ich wysubtelnienia. Perfumy straciły już dawną rolę w buduarze pięknej pani z ub. stulecia, źle wietrzonym i przeładowanym meblami i pluszami. Dzisiaj służą perfumy do uzupełnienia prezencji tualety podobnie jak biżuterje. To też ich odcienie muszą być bardzo subtelnie dostosowane nietylko do pory dnia, lecz i do rodzaju urody i nawet usposobienia konsumentki. Przed fabrykacją perfum otwierają się nowe dziedziny i horoskopy



Praca w laboratorjum polega na praktycznem wykorzystaniu olejków kwiatowych przy fabrykacji perfum.

Przemysł fabrykacji perfum, jakkolwiek z biegiem tysiącleci ulegał rozmaitym fazom ewolucyjnym, jest tak ściśle związany z pojęciem kobiety, że niema obawy, aby groziło mu zamarcie. Trudno wyobrazić sobie kobietę bez obłoku sztucznej woni, otulającej ją jak wdzięczna tualeta. Już niejednokrotnie usiłowali rozmaici purytanie walczyć z modą perfumowania się, lecz zakusy te okazywały się zawsze daremne. **mab.**

WSZYSTKIE ZDJĘCIA „SENSATION" — MARSYLJA



Poniżej: „Batalijony" flaszek z perfumami czekają na etykietę, by wyruszyć na podbój klienteli w szeroki świat!

Życie

towarzyskie i artystyczne

„ZŁOTE GODY" W POZNAŃSKIEM.



Pp. Franciszek i Kazimiera Basińscy w Jarocinie obchodzili ostatnio rzadką uroczystość złotych godów małżeńskich. Pp. Basińscy należą do najbardziej szanowanych obywateli miasta Jarocina. P. Franciszek Basiński od przeszło 50 lat prowadzi swe przedsiębiorstwo handlowe, udzielając się przez całe życie bardzo energicznie pracy społecznej. Z powstaniem państwa polskiego wybrany został jednomyślnie pierwszym niezawodowym burmistrzem miasta, następnie przez szereg kadencyj piastował godność wiceburmistrza. Równocześnie piastował kilka honorowych godności społecznych. Z dzieci pp. Basińskich troje poświęciło się pracy dziennikarskiej, dwóch synów i córka, absolwentka Wyż. Szk. Dzien. Z okazji złotych godów pp. Basińscy otrzymali liczne życzenia z kraju i zagranicy. Na zdjęciu: Jubilaci w otoczeniu wnuków.

ŚLUB KS. A. CZARTORYSKIEGO.



W Lozannie odbył się ostatnio ślub cywilny ks. Augustyna Czartoryskiego z ks. Dolores de Bourbon — z linji królewskiej Obojga Sycylji, poczem w miejscowości M. Ouchy pod Lozanną nastąpił ślub kościelny, na którym między wieloma gośćmi z pośród rodziny państwa młodych zjawił się również b. król Alfons XIII, b. król bułgarski Ferdynand, b. królowa portugalska Amelja i wiele innych. Pan młody jest synem zmarłego niedawno ks. Adama Ludwika, ordynata na Sieniawie i Gołuchowie, oraz ks. Marji Ludwiki z hr. Krasińskich; panna młoda zaś jest córką ks. Karola de Bourbon — Deux Siciles i ks. Ludwiki Orleańskiej, prawnuczką zaś ostatniego panującego króla Obojga Sycylji — Franciszka II, którego tronu pozbawiła ekspedycja wojenna Garibaldiego w poł. XIX w. Na zdjęciu: Młoda para.

NA PLAŻACH I UZDROWISKACH...



Jedna z najbardziej lubianych artystek operetkowych i filmowych, Loda Niemirzanka, została ostatnio zaangażowana do Teatru Letniego w Warszawie, gdzie na rozpoczęcie nowego sezonu wystąpi w komedji muzycznej „Miłość przy świeczkach". Na zdjęciu: Loda Niemirzanka na plaży w La Beaule (Normandja), gdzie obecnie bawi na wywczasach.



Książę Dawid Mdivani, rozwiedziony mąż słynnej gwiazdy filmowej Mae Murray, zaręczył się po czterodniowej znajomości z piękną i bogatą Amerykanką miss Muriel Johnson. To wydarzenie wzbudziło wielką sensację w kołach międzynarodowego high-life'u. Na zdjęciu: Ks. Dawid Mdivani i miss Johnson na plaży na Lido.



Życie towarzyskie w podkarpackich uzdrowiskach odznaczało się w b. sezonie urozmaiconym programem imprez zabawowych, w których wzięły udział piękne kuracjuszki, przybyłe z różnych stron kraju. Na zdjęciu: P. Nina Poplińska, ziemianka z Poznańskiego i jej ulubieniec, długowłosy jamnik „Bobby", wyróżniony na konkursie w Zegiestowie.

10 MINUT *z Marleną*

Dworzec St. Lazare w Paryżu zapchany publicznością wkrótce oczekuje nadejścia pociągu transatlantyckiego. Nikt nie zwraca na nikogo uwagi, wszyscy oczekują tylko przyjazdu sławnej gwiazdy filmowej— Marleny Dietrich.

Nareszcie — wysiada — biały idealnie wykonany angielski kostjum, na wysokiej szczupłej sylwetce. Zielony kapelusz, takaż torebka, trzewiki, rękawiczki i szalik. Twarz blada nerwowa, oczy niewiarogodnie głęboko osadzone, niebieskie, o uśmiechu słabym, jakby trochę niepewnym. Oto sławna vedetta filmu, która przyjeżdża na wakacje.

Tłum zafalował — każdy chce chociaż zobaczyć na mgnienie oka, chociaż usłyszeć jakieś słówko, spostrzec jakiś gest, uśmiech; wkońcu udało się jej oszukać fotografów i dziennikarzy, wskakuje do swego luksusowego samochodu. Ostatni uśmiech dla tłumu, spojrzenie niebieskich oczu jakby z obawą i niewypowiedzianą prośbą, z pewnem zdziwieniem.

Samochód odjeżdża, uwożąc tę, którą kochają tysiące.

A teraz wyścig dziennikarzy do hotelu, kto pierwszy zdąży, kto kogo ubiegnie! — Hall w pierwszorzędnym hotelu. I tu spotyka się przeszkodę nie do przezwyciężenia, portjerzy, cała służba hotelowa staje w pozycji obronnej, będąc zdecydowaną nie dopuszczać nikogo do Mme Dietrich.

— Pani Dietrich nie przyjmuje nikogo.

— Pani Dietrich chce odpocząć.

— Pani Dietrich oczekuje swego męża.

— Pani Dietrich oczekuje swojej córki.

Pertraktacje telefoniczne, wkońcu otrzymuję pozwolenie zobaczenia jej na chwileczkę, wyjątkowo, jest bowiem rzeczywiście bardzo zmęczona.

Zastaję ją w pokoju obok swego męża, którego mi przedstawia, jak również przemiłą córeczkę mocno opaloną od słońca i powietrza. Widząc ją tak z bliska jeszcze bardziej podziwia się jej urok i urodę, nadzwyczajną, tak bardzo osobistą niezaprzeczalną. Bardzo mało szminki, wielka naturalność i miły uśmiech.

Trzeba pytania stawiać szybko, na które odpowiada z dokładnością i wyraźnie. — Jestem we Francji, aby odpocząć, wyłącznie aby wypocząć. Jestem bardzo, bardzo zmęczona, życie w studjo jest bardzo ciężkie. Poza tem Ameryka jest też krajem bardzo męczącym, to kraj taki duży i tak się trzeba tam zawsze spieszyć. — Przed chwilą znalazłszy się na dworcu w Paryżu byłam taka uradowana, Paryż jest znacznie bliższy memu sercu, niż New York.

— Czy będzie pani teraz wybierać jakieś nowe toalety?

— O nie! Nie chcę sukien i nie chcę wizyt w domach konfekcyjnych, nic wogóle — kompletny wypoczynek.

— A spacery po Paryżu, zwiedzenie wystawy?

— Tak zapewne, ale później — nie dziś wieczór — dziś chcę się przedewszystkiem dobrze wyspać. Nawet nie mam się w co przebrać, rzeczy moje jeszcze nie nadeszły.



Marlena Dietrich w swoim ostatnim filmie „Anioł".

Fot. „Wide World Photos, Londyn.

— Czy mówią o wystawie paryskiej w Ameryce, w Hollywood?

— Tak — ale mało. Ci, co na nią pojechali, jeszcze nie wrócili. W każdym razie wie się, że ona istnieje.

Monsieur Sieber mąż Marleny, który wyszedł przed chwilą, powraca.

— Marleno, wzywa cię Stutgart.

Wraca po chwili uradowana. — To moja matka chciała się dowiedzieć, jak odbyłam podróż, jak się czuję.

— Co myślą w Ameryce o Simone Simon? Czy uważana jest za specjalny typ młodej francuskiej dziewczyny?

— Zachwycamy się nią wszyscy, ale nie zdaje mi się, aby ją specjalnie uważano, jako typ francuski, niezaprzeczenie wybitna „osobistość" i za taką ją uważamy.

— A córka pani, która już z nią występowała, czy będzie dalej debjutować w filmie?

— Chwilowo nie — jestem w trakcie rozpoczęcia poszukiwań odpowiedniego dla niej pensjonatu, nie wiem czy we Francji, czy też w Szwajcarji. Prawdopodobnie wyszukam jej jaki zakład naukowy we Francji, chcę bowiem aby dobrze mówiła po francusku.

Nawiasem mówiąc Marlena Dietrich i mąż jej doskonale mówią po francusku. — Czy chodzi pani na swoje filmy w Ameryce?

— Nie często — wszak znam je tak dobrze, w najmniejszych szczegółach— mam ich więc dosyć, wolę ich nie widzieć.

— A czy który z filmów pani jest „dublowany?"

— Tak — „Pożądanie" (Désir) — bardzo udatnie odtwarza mnie tam jedna młoda Francuzka, rzeczywiście bez zarzutu.

— Pani zna te młodą osobę?

— Nie.

— Jakto? — Przecież właściwie — to „kawałek" pani! — Nie pragnie pani jej poznać?

Marlena wykonuje lekki ruch, jakby zmęczenia, i z uśmiechem odpowiada.

— Nie wiem — nie jestem ciekawa.

I znów pan Sieber nadchodzi, oświadcza, że wciąż napływają nowe zaproszenia — trzeba się zdecydować, które z nich przyjąć.

Na twarzy gwiazdy osiada chmurka niezadowolenia.

— Ale ponieważ jestem na wakacjach...

— Nawet podczas wakacji, trzeba poddać się prawom, które narzuca sława, nie zrazić nikogo, nie okazać względów lub uprzejmości większej jednej osobie jak drugiej. Nie zapomnieć pójść na dane przyjęcie, lub na obiad do nowej jakiejś restauracji, a choćby nawet na dancing w nocnym modnym lokalu.

Ale pomimo tych licznych światowych kłopotów jesteśmy pewni, że Marlena-matka znajdzie wolny czas tak jak każda najzwyczajniejsza mama, która się kłopocze o przyszłość swego dziecka, aby znaleźć odpowiedni zakład naukowy, gdzie pozostawi swoją ukochaną córeczkę nie jako córkę sławnej gwiazdy, ale jako zwykłą panienkę, jak tyle innych.

Opuszczając mieszkanie Marleny Dietrich, nie mogę się oprzeć wrażeniu jej głębokich, nieco zmęczonych oczu, które w grze wielkiej artystki zastępują słowa, wyrażając dziwny i nadwyraz pociągający smętek romantycznej jej postaci. One to w połączeniu z wyrazem ust stanowią najcharakterystyczniejsze cechy wielkiej artystki — Marleny Dietrich.

Z. C.

Myślimy już o chłodach jesieni....



Ładny szlafroczek z czarnej jedwabnej baji w delikatny kwiatowy deseń w zielonym kolorze.

Niezbyt pomyślna aura sierpniowa, przedwczesne chłody i deszcze, słońce, pojawiające się tylko zrzadka, w homeopatycznych dawkach, przywodzą nam na myśl, że niestety nie będziemy jeszcze nasycone naprawdę latem, gdy już do wrót naszych zapuka jesień...

Piękna, malownicza w swym złoto-czerwonawym kolorycie, jesień, niosąca jednak przykry chłód, zimny wiatr, przedsmak zimy...

W przewidywaniu tych niedalekich już dni jesiennych musimy już teraz pomyśleć o odpowiedniej garderobie. Zanim paryska „haute couture" zawyrokuje o tem, jakie materjały i jakie fasony nosić będziemy w sezonie jesienno-zimowym, już teraz możemy wiedzieć napewno, że modną będzie, jak zazwyczaj w tym okresie, włóczka. Mimo, że materjał ten podrożał znacznie w ostatnich czasach, to jednak podrożenie to nie przestraszy niechybnie tych pań, które umieją własnemi rączkami sporządzać różne cacka odzieżowe z włóczki.

ZDJĘCIA MUNDI — AMSTERDAM.

Poniżej: Sportowy pulower z białej włóczki angora.





Szykowny kraciasty pulower ręcznej roboty na drutach z włóczki w kolorach: zielonym, beige i czarnym. Zapięcie na zamek błyskawiczny, pasek skórkowy zielony.

Z ogromną satysfakcją, jaką daje możność zrobienia sobie własnoręcznie czegoś ładnego i praktycznego, sporządzać więc będziemy z miękkiej „przytulnej" włóczki wszelkiego rodzaju swetery, dżempry, kasaki, bluzki, a także całe sukienki i kostjumy. Kombinować się będzie przy tych robotach włóczkę gładką z puszystą włóczką „angora", włóczkę jednobarwną z włóczką mieszaną o dwu, lub trzech kolorach. Zestawienie dwu, lub więcej rodzajów włóczek jakoteż rozmaitego kalibru ściegów, stwarzać będzie pomysłowe wzory, pasy, kostki, szachownice, duże kraty i t. d.

Niezależnie od robót włóczkowych już teraz przygotowywać możemy sobie również właściwe na chłody jesienne szlafroczki. „Piękne z pożytecznem" łączy w sobie szlafrok, zrobiony z gładkiego, lub wzorzystego jedwabiu, pikowany na miękkiej, cienkiej flanelce. Szlafroczek taki zabezpiecza przed zimnem, a równocześnie na zewnątrz wygląda lekko i szykownie. *(lew.).*



Zielony szlafroczek jedwabny podbity cienką flanelką, ramwersy stębnowane.

Poniżej: Modny pulowerek ręcznej roboty na drutach z zielonej włóczki, ozdobiony kołnierzykiem i trzema kokardkami, które obwiedzione są białą włóczką.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

CHŁODNIK SURÓWKOWY (z przepisów dietetycznych). Surowy ogórek, obłupany i posolony, kraje się w bardzo cienkie płatki, kropi cytryną i posypuje łyżeczką miałkiego cukru. Po godzinie dodaje się filiżankę surowego soku z porzeczek, takąż filiżankę soku jabłecznego oraz filiżankę surowej słodkiej śmietanki. Przy diecie odtłuszczającej daje się w miejsce śmietanki, przegotowaną, ostudzoną wodę. Chłodnik musi stać przed podaniem dwie godziny w chłodzie, wzgl. na lodzie.

PRZYSTAWKA Z JAJ. Z 2 surowych żółtek i 1/16 litra oliwy, dodawanej kroplami, uciera się gęsty majonez, dodaje łyżkę octu lub soku cytrynowego, soli i pieprzu. 4 jaja ugotowane na twardo przepoławia się wzdłuż, wyjmuje żółtka i dodaje roztarte do majonezu wraz z łyżką kawioru. Mieszaniną tą napełnia się białka. Z małych bułeczek przekrojonych wyjmuje się ośródkę, wysmaża z obu stron na maśle, wstawia w środek napełnione połówki jaj i podaje posypane szczypiorkiem i przybrane pęczkami zielonej pietruszki.

PIKANTNA JAJECZNICA. Łyżkę bryndzy liptawskiej roztapia się na ogniu i smaży przez chwilę wśród ciągłego mieszania. Skoro się troszkę zrumieni, wlewa się parę dobrze rozkłuconych jaj, miesza na ogniu, aż się zetnie, posypuje papryką i siekanym szczypiorkiem i podaje na grzankach z ciemnego chleba.

SPAGHETTI ZAPIEKANE. 20 dkg spaghetti łamie się w kawałki i gotuje w słonej wodzie. Ocedzone przelewa się zimną wodą i obsącza na sicie. Dwie łyżki parmezanu ubija się z 2—3 jajami, miesza z makaronem, wkłada do natartej masłem formy, kropi masłem po wierzchu i wstawia na 35 minut do gorącego piecyka. Potrawę, wydaną na półmisek otacza się pomidorami faszerowanemi mięsem lub tylko gęstym sosem pomidorowym.

POMIDORY FASZEROWANE. Wydrążone pomidory napełnia się następującym farszem: 25 dkg mięsa cielęcego i 10 dkg biału lub tłuszczu od szynki, przemiela się dwa razy z kawałkiem bułki, rozmoczonej w mleku. Farsz zaprawia się solą i pieprzem, dodaje łyżeczkę siekanej pietruszki i 1 żółtko. Mieszać należy pilnie przez 10 minut, napełniać pomidory, które się ustawia ciasno w rondelku, natartym masłem, kropi masłem i wstawia na pół godziny do piecyka.

BUDYŃ Z GRZYBKÓW. 20 dkg grzybków drobno skrajanych, dusi się na łyżce masła z dodatkiem małej, siekanej cebulki. Łyżkę masła uciera się na pianę z 3 żółtkami, dodaje ugotowane i ostudzone poprzednio grzybki, pianę z 3 białek i 3 łyżki tartej bułki. Masę grzybkową nakłada się do formy budyniowej i gotuje na parze przez godzinę. Budyń podaje się polany rumianem masłem, otoczony przysmażanemi ziemniaczkami.

LEGUMINA RYŻOWA Z MELONEM. Dla zwolenników cukrowych melonów, tzw. ananasowych, podajemy ten mało znany przepis. Filiżankę ryżu gotuje się po poprzednłem sparzeniu go w 2½ filiżankach mleka z dodatkiem szczypty soli, łyżki masła i paru łyżek cukru. Ryż powinien być gęsty i bardzo miękki, przyczem należy go zupełnie ostudzić. W międzyczasie kraje się w drobną kostkę 25 dkg obłupanego i oczyszczonego z włókien i pestek melona, posypuje go cukrem i oblewa rumem, musi tak „ciągnąć" aż się ryż ugotuje, tj. przeszło godzinę. Poza tem smaży się 12 dkg cukru z 5 dkg masła na jasno złoty kolor, zalewa szklaneczką białego wina owocowego, rozrabia na ogniu, dodaje sok i tartą skórkę z połowy cytryny. W płynie tym rozpuszcza się 3 płytki żelatyny i miesza go z ryżem. W szklanej misce układa się warstwami ryż i melon. Spód i wierzch stanowić ma ryż. Teraz ubija się pianę z 2—3 białek, dodaje łyżkę galaretki malinowej i ubija dalej aż łyżka stanie w piance, którą się nakłada na wierzch leguminy, poczem zastudza się ją na lodzie. Możliwe zmiany: w miejsce melona można dać brzoskwinie lub winogrona bez pestek, albo łupane śliwki, piana z białek zastąpiona być może bitą śmietaną.

BOVLA MALINOWA. Gotuje się syrop z 25 dkg cukru i 1/4 litra wody. Do ostudzonego syropu wrzuca się 25 dkg malin i odstawia na dwie godziny. Do szklanej wazy, odpowiedniej na bovlę, daje się 10 dkg pięknych wybranych malin i wlewa na nie syrop malinowy oraz 3/4 litra wina, poczem stawia się bovlę na lodzie. Tuż przed podaniem dolewa się do bovli pół syfonu wody sodowej.

W podobny sposób sporządza się bovle z poziomkami lub brzoskwiniami. Do tego celu nadają się tylko owoce z silnym aromatem.

NAPÓJ DLA TURYSTÓW. Do wazy wkłada się 2 dkg dobrej herbaty, 10 kostek cukru, płatek cytryny na 1 cm gruby, taki sam płatek pomarańczy, laseczkę wanilji. Wszystko zalewa się ½ litrem wrzącej wody, przykrywa i odstawia na dwie godziny, po którym to czasie dolewa się jeszcze ½ litra wrzącej wody i ostudza. Napój jest mocno aromatyczny i gasi pragnienie na wycieczkach.

Sc. Ko.

NOWOŚCI
GOSPODARSTWA DOMOWEGO



„Wyższa Szkoła" sztuki kulinarnej uwzględnia nietylko smaczność potrawy, ale również jej wygląd zewnętrzny, który musi się odznaczać estetycznością. Używanie foremek o różnorodnych wzorach przy wyrobie ciasteczek z kruchego ciasta dodaje im bezwątpienia smakowitości. Duże zastosowanie foremki drewniane mają przy wypieku pierników.

Fot. Becker & Maass (Schostal).

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 35	Sierpień — 31 dni
NIEDZIELA 22 Tymoteusza	Pomidorówka na zimno z groszkiem ptysiowym. Przystawka z jaj na grzankach. Kurczęta duszone z jarzynkami. Kompot mięszany. Kremówki. Kolacja: Mięszane wędliny z sałatą surówkową.
PONIEDZ. 23 Filipa, Joachima	Rosół z grzybkiem. Pomidory faszerowane. Pieczeń sarnia w śmietanie z makaronem. Legomina ryżowa z owocami. Kolacja: Hachee z mięsa rosołowego.
WTOREK 24 Bartłomieja ap.	Chłodnik surówkowy. Budyń z grzybków z ziemniaczkami. Kotlety wieprzowe z zieloną fasolką na kwaśno. Mleczko waniljowe. Kolacja: Pikantna jajecznica.
ŚRODA 25 Ludwika kr.	Zupa rakowa z ryżem. Spaghetti zapiekane z sosem pomidorowym. Pieczeń barania z buraczkami. Kompot mięszany. Kolacja: Omlety z grzybkami.
CZWARTEK 26 NMP. Częstoch.	Zupa śliwkowa z grzankami. Ogórki faszerowane. Pieczona kaczka z kapustą duszoną z jabłkami. Bery z bitą śmietaną. Kolacja: Móżdżki cielęce z jajami.
PIĄTEK 27 Prz. ś. Kazim.	Zupa rybna z kluseczkami. Szparagówka lub włoska kapusta w sosie śmietanowym z koprem. Karp w galarecie. Knedelki śliwkowe w bułkowem cieście. Kolacja: Grzybki z śmietaną.
SOBOTA 28 Augustyna	Barszcz z uszkami. Faszerowana kapusta. Kotleciki cielęce lub baranie z marchewką. Strudel z jabłkami. Kolacja: Ozorki cielęce w pomidorowym sosie.

HOCKI-KLOCKI

NAD MORZEM.



— *Skąd się tu wzięły nasze meble?*
— *Jak zwykle zapomniałeś zamknąć kurek wodociągowy w naszem mieszkaniu w Warszawie.*

Rys. Charlie.

ZMARNOWANY URLOP.

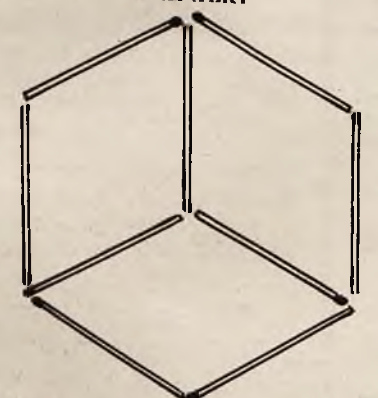


— *Wyobraźcie sobie państwo, że ten nieszczęśnik był w Szkocji i nie widział węża morskiego!*

Rys. Charlie.

Rozwiązania z Nru 33-go.

ZAPAŁKI



Rysunek wskazuje rozwiązanie zadania. W zadaniu nie było zastrzeżenia, że można zbudować tylko figurę płaską. Na rysunku widzimy (w perspektywie) sześcian (regularną sześcioboczną figurę!).

AS PIK

Prawdopodobieństwo, że wierzchnią kartą jest as pik, wynosi 51.53.

FOTOGRAFJE.

Nr 1 Słonimski, nr 2 Tuwim, nr 3 Wierzyński, nr 4 Staff, nr 5 Lechoń.

KOZA

Długość sznura wynosi w przybliżeniu 14.142 metra.

DROGIE OWOCE.

Jeśli pani kupi 1 tuzin za 8.50, 5 za 6,30 i 2 po 1 zł, lub gdy kupi 3 razy po 5 sztuk za 3.50, 3 za 2.50 i jedną za 1 zł, to zapłaci za 10 grapefruitów 14 zł. Jednak będzie o wiele praktyczniej kupić 4 razy po 5 za 3.50 zł, czyli zapłacić 14 zł za 20 sztuk zamiast za 19.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

LIST.

Nasz korespondent przysłał nam następujący list, który mimo pozorów nie jest trudny do odcyfrowania.

A×B=B, B×C=AC, C×D=BC, D×E=CH, E×F=DK, F×H=CJ, H×J=KJ, J×K=E, K×L=L, A×L=L.

Każda litera reprezentuje inną cyfrę, AC, BC i t. d. są oczywiście liczbami dwucyfrowymi.

Proponujemy czytelnikom znaleźć liczbowe wartości wszystkich liter użytych w liście.

PROBLEM ARYTMETYCZNY.

Czy można znaleźć dwie trzycyfrowe liczby kwadratowe (bez zer) taki, których cyfry wypisane kolejno dadzą sześciocyfrową liczbę kwadratoką? Np. liczby 324 i 900 (kwadraty 18 i 30) dają po wypisaniu ich w jednym szeregu liczbę 324,900 — kwadrat 570; tylko że liczba ta zawiera aż dwa zera, więc nie spełnia warunków zadania. Zadanie ma tylko jedno rozwiązanie.

7777.

Pewna liczba składająca się z samych siódemek dzieli się przez 199. Należy, bez znajdowania całego ilorazu, określić jego cztery ostatnie cyfry.

Dokończenie z str. 10-ej.

otarła się o żebro i błądząc, wlazła pod łopatkę. Położono go na ziemi i obaj lekarze zaczęli zakładać opatrunek. Zrobiło mi się bardzo nieswojo. Wydawało mi się też, że Rosuhanek, który zresztą zachował się dzielnie, mówi coś o matce. Miałem nieodparte wrażenie, że umiera, lub wkrótce umrze. Wtedy dopiero zdjął mnie lęk.

Uczucie lęku i niepewności, skojarzone z pojęciem zapłakanej matki w czerni, nie opuściło mnie już tego dnia, mimo, że po pojedynku przebrałem się i o godzinie 8-ej rano siedziałem, jak zwykle, przy biurku. Rosuhanek pojechał prosto do szpitala, gdzie miano na nim dokonać operacji. O wyniku operacji miał mnie powiadomić znajomy nasz aplikant adwokacki. Miał zadzwonić do redakcji natychmiast po zabiegu chirurgicznym.

Czekałem, pełen sprzecznych uczuć, wijąc się pod pytającem spojrzeniem dra Henrykowskiego. O godzinie dziewiątej rano, w chwili, kiedy zamykałem okno, zauważyłem wysoką, szczupłą panią, wchodzącą do naszego kantoru. W wyczerpanym gwałtownemi wzruszeniami mózgu, obraz nieznanej matrony skojarzył się z fantastycznem pojęciem matki pana Rosuhanka, która po śmierci syna przychodzi rzucić oskarżenie na sprawców nieszczęścia, to jest na mnie i na naczelnego redaktora. — Skojarzenie miało charakter chorobliwy. Być może, że drogą jakiejś ultrasubtelnej analizy fluidalnych powiewów, przeczułem, że nieznajomej idzie również o syna. Wszedłem wówczas do pokoju szefa i wszcząłem opisany już i jak się później okazało, niepotrzebny alarm.

W chwili największego napięcia akcji, poprosił mnie do kabiny telefonicznej dr. Henrykowski, twierdząc, że dzwoni do mnie prokuratura.

Podszedłem do telefonu i rzuciłem w słuchawkę moje nazwisko.

— To ty Jędruś — dobiegł mnie dobrze znany i nieco tubalny głos naszego prawnika.

— Tak jest, ja — odparłem i zacząłem go błogosławić i przeklinać w myśli.

— Słuchaj Jędruś. Sprawa ma się tak: panu Rosuhankowi wyjęto kulę. Dostał zastrzyk srebra. Za tydzień będzie, uważasz, zdrów, jak karaś. Pojechał do domu o własnych siłach.

Omal nie rozszlochałem się z radości. — Szybko zakończyłem rozmowę.. Po wyjściu z kabiny telefonicznej, spotkałem się krok w krok z drem Henrykowskim.

— Ta pani.. wiecie, panie kolego — mówił powoli.

— Ta, która jest w drugim pokoju, co?

— Tak, tak... Ta sama. To niejasna sprawa. Jest tu już trzeci raz.

— ????

— Twierdzi, że syn jej jest ciężko chory na gruźlicę. Wiecie, byłem tam i badałem osobiście. Bujda na resorach. Zastałem go grającego w karty.

Milczałem z radośnie uśmiechniętą twarzą. Dr. Henrykowski patrzył na mnie zgorszony i zdezorjentowany.

— Chce — mówił z godnością człowieka, który wspina się na niewidzialne koturny — chce, ażebyśmy ogłosili w dzienniku składkę na rzecz jej syna. Chce go podobno leczyć. Musimy być ostrożni...

Wpadłem, jak ciężki pocisk, do pokoju szefa. Znowu bez pukania. Zastałem tam scenę następującą. Szef mój, niesłychanie uradowany, wręczał matronie w czerni jakąś „większą“ sumkę w bilonie, co mu się przedtem nigdy nie zdarzało. Widać było, jak wysypuje na stół całą zawartość portmonetki... Żegnając się z nią, posłał mi pełne wyrzutu i triumfu spojrzenie:

— Fałszywy alarm — mówiły mądre, jowiszowe oczy szefa.

— Tak tak... fałszywy alarm — odpowiedziałem głośno szczęśliwy jak nigdy.

To warto poznać..

NA SCENIE.

„Wakacyjnem intermezzo" nazwał jeden z krytyków stołecznych „krotochwilę ze śpiewami i tańcami", napisaną ongiś przez R. Ruszkowskiego, a przerobioną teraz przez Tuwima i wystawioną przez Teatr Polski w Warszawie p. t. **„Jadzia-wdowa"**.

Pewien smakosz nowoczesnej literatury, choć przedstawiciel konserwatywnego pisma dostrzegł w fakcie wystawienia „Jadziwdowy" objaw upadku smaku. Zresztą, co się tyczy owego „smaku", po cichu przyznają to i inni, że brakło go niekiedy w miksturze, spreparowanej przez Tuwima. Są tacy, co usiłują bronić teatru: a że to wakacje i upalne lato, że oglądamy przecież pierwszorzędny zespół artystyczny... — „Malkontenci sobie, a publiczność sobie" — powiada jeden z obrońców tego towaru. Spodziewają się oni, że jeśli idzie o powodzenie — „Jadzia-wdowa" spróbuje nawiązać do tradycji „Jima i Jilla", wprowadzonego przed kilku laty na tę scenę, na której przyzwyczailiśmy się przedtem oglądać poważniejsze pozycje literackie.

Więc w tym sporze „krytyków i recenzentów warszawskich" przyjmijmy, że Teatr Polski postarał się o lekką muzę, zaprzęgając do jej rydwanu takie siły aktorskie, jak **Modzelewska i Kurnakowicz**, który wysuwają się na plan pierwszy krotochwili. Pisząc o Modzelewskiej, nawet przysięgli chwalcy „Jadzi-wdowy" przyznają, że robi się im „markotno": „tak wybitnej artystce pozwalamy próżnować lub grać w sztukach, gdzie tylko jednem płucem może oddychać."

Wprost znakomicie spisał się niezawodny komik **Kurnakowicz**: lada zdanie zamieniał, jak się wyraził któryś ze sprawozdawców, „w rakietę dowcipu". Z innych wykonawców trzeba wymienić: Woszczerowicza, również specjalistę od humoru, pozatem Janecką, Chmielewskiego, Żabczyńską, Rolanda. Układ muzyczny p. Sygietyńskiego — bardzo zręczny i miły. Reżyserował Z. Ziembiński, który też wziął na siebie jedną z ról, choć ten rodzaj widowiska nie należy do najbliższych jego upodobaniom i zdolnościom.

W teatrze Kameralnym wystawiono wiedeńską farsę H. Adlera p. t. **„Skandal w rodzinie Kinga"**. Jeden z recenzentów pisze słusznie z racji tego przedstawienia: „Od jakiegoś czasu rozpoczyna się pewnego rodzaju renesans tego gatunku", tj. farsy. Taką właśnie farsą, bez pretensyj i ambicyj w innym kierunku jest sztuczka H. Adlera. Nie brak w niej zabawnych pomysłów: wyrzucona kiedyś służąca powraca do swej pani, ale w charakterze gościa, jako wielka dama. W roli głównej wystąpiła nieznana szerszemu ogółowi p. Irena Brenoczy, okazująo talent świeży i godny uwagi. Duży sukces odniosła p. Hanna Różańska, pełna dowcipnej werwy i humoru. Na pochwałę zasłużyli pp. Orleńska, Rzecki i Kwiatkowski. Głośne oklaski na widowni wróżą powodzenie teatrowi w podziemiach Galerji Luksemburga.

J. J.

NOWE KSIĄŻKI.

Podróż naokoło świata i to w rekordowym czasie, przy jednoczesnem rywalizowaniu z dwoma nieznanymi konkurentami — oto atrakcyjne ramy książki Emila Droonberga pt. **„Wyścig naokoło świata"**. Ow wyścig organizują właściciele trzech wielkich koncernów prasowych w Anglji; każdy z nich wysyła w oznaczonym terminie swego reportera. Dodajmy, że dla wzmocnienia i podsycenia ciekawości czytelnika — trzej reporterzy nie znają się wzajemnie, skutkiem czego bohater opowiadania Droonberga nie wie, że towarzysząca mu urodziwa (jakżeby inaczej!!) panna Hust nie jest bynajmniej agentką wywiadu prywatnego, tylko właśnie przedstawicielką rywalizującego koncernu.

Reporterzy mają posługiwać się normalnemi środkami komunikacji, istniejącemi na trasie Londyn — Azja — Ameryka — Europa. Ale już w Moskwie rozpoczynają się ich przygody. Jeden z reporterów musi odbyć podróż przez Syberję w przebraniu za dziewczynę rosyjską! A w Mongolji na pociąg ich napada banda rozbójników... Słowem mimo nowoczesnych środków lokomocji — przygody są najzupełniej w guście zeszłowiecznych awantur wędrowców po szerokim świecie.

Jak zwykle sporą porcję humoru dostarcza nam nowy przekład opowiadania P. G. Woodehouse'a pt. **„Dziękuję, Jeeves"**. Woodehouse lubi splatać niewymyślną intrygę, ale dającą pole do zabawnych sytuacyj, aby później rozwikłać ją gładko i przyjemnie. Na plan pierwszy wysuwa się tutaj lokaj Jeeves, który umie zawsze znaleźć wyjście z drażliwych konfliktów, w jakie popada jego chlebodawca.

W inny klimat duchowy wprowadza nas p. Halina Górska w **„Ślepych torach"**. Otwiera przed nami wnętrze sutereny w domu przy ul. Dekerta we Lwowie. Zamieszkują tu ludzie wykolejeni, znajdujący się „na dnie" piramidy społecznej. Autorka przedstawia ich z całym realizmem, nie usiłując niczego „wybielać", przeciwnie zdaje się kłaść szczególny nacisk na najciemniejsze i najprzykrzejsze szczegóły życia lokatorów w piwnicy przy ul. Dekerta. P. Górska ukazuje także akcję różnych stowarzyszeń dobroczynnych i społecznych. O akcji dobroczynnej mówi z przekąsem; najbliższa jej jest działalność grupy młodzieży akademickiej o zabarwieniu wybitnie politycznem. W poradni pouczają tam nieszczęsnych, że wszystkiemu winien ustrój społeczny. Bardzo znamienny pod tym względem jest epizod z bezrobotnym krawcem, któremu faszerują głowę oskarżeniami społecznemi, a on przyjmuje to po swojemu: zwala wszystko na... żydów i urzędników. Młodym agitatorom opadają ręce. I autorka z bólem serca myśli o trudnościach, na jakie napotyka najniespodziewaniej ich akcja uświadomiania „klasowego".

J. J.

NA NAJLEPSZEJ FALI

NIEDZIELA, — dnia 22. VIII.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Regionalna transmisja z Wisły z okazji „Święta Gór" — Msza polowa. Defilada grup regionalnych przed Panem Prezydentem R. P.
11.30 Drobne utwory skrzypcowe i organowe (płyty).
12.03 Dd Kamieńskiego do Karłowicza — uoranek muzyczny.
13.10 Koncert muzyki lekkiej i tanecznej.
15.00 Audycja dla wsi.
16.00 Koncert rozrywkowy dla młodzieży z Parku na Woli.
17.30 Transmisja regionalna z Wisły z okazji „Tygodnia Gór".
18.15 „W ruinach z czasów Minosa" — felieton.
18.30 Utwory Klaud. Debussy'ego.
19.35 Transmisja z Międzynarodowych zawodów lekkoatletycznych Polska—Niemcy.
20.00 Wiązanki operetkowe w wyk. zespołów wokalnych (płyty).
21.00 „Transmisja z ogrodu zoologicznego" — Wesoła Syrena.
22.00 Recital śpiewaczy Desiré Ligeti.
22.30 Fryderyk Delius (płyty).

PONIEDZIAŁEK — dnia 23. VIII.

6.15 Audycja poranna.
12.25 Georges Bizet (płyty).
12.40 „Od warsztatu do warsztatu", wizyta w cechu mularzy.
16.00 Antoś chce być technikiem: — „Wydobywamy skarby ziemi", audycja dla dzieci starszych.
16.15 Antoni Dworzak — kwartet fortepianowy D-Dur op. 23.
16.45 „W jednym łapciu — w drugim bucie" — felieton.
17.00 Koncert Kapeli Ludowej Feliksa Dzierżanowskiego.
18.15 Oryginalne piosenki meksykańskie (płyty).
19.00 Audycja strzelecka.
20.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.
21.05 Koncert symfoniczny w wykon. Orkiestry Symfoniczn. pod dyr. B. Paumgartnera (transmisja z Salzburga).
21.45 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść mówiona.
22.00 Koncert rozrywkowy Orkiestry P. R.

WTOREK — dnia 24. VIII.

12.25 Koncert orkiestry KPW w Katowicach.
16.00 Zagadka geograficzna — audycja dla dzieci.
16.20 Nasze pieśni w wyk. Heleny Zboińskiej-Ruszkowskiej.
16.45 Ziemia rodzinna M. Karłowicza — felieton.
17.00 Orkiestra Filharmonji Warszawskiej pod dyr. J. Ozimińskiego. Transm. z Ciechocinka.
18.15 Z operetek Millöckera i O. Straussa (płyty).
19.00 „Sposób na kobiety" — skecz Jerzego Gerżabka.
19.15 VII audycja z cyklu „Symfonje Beethovena".
20.05 „Nad Jadranem" — audycja muzyczno-słowna.
21.05 Melodje filmowe i rewjowe w wyk. Tria Salonowego.
21.45 Dni powszednie państwa Kowalskich".
22.00 Recital fortepianowy Henryka Mierowskiego.
22.30 Pieśni włoskie i polskie w wykon. Józefa Korolkiewicza.

ŚRODA — dnia 25. VIII.

12.25 Piosenki i walce — koncert z Łodzi.
16.00 Między polskiemi i francuskiemi wierszami — szkic z cyklu „Z mojego warsztatu".
16.15 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry.
16.45 Roman Sanguszko — odczyt.
17.00 Koncert solistów.
17.50 Kauczuk — pogadanka.
18.15 Ze świata bajek Mickey Mouse (płyty)).
19.00 „Słynni dyrygenci" — XIX audycja (płyty).
20.00 Koncert orkiestry mandolinistów „Kaskada".
21.45 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść mówiona.

CZWARTEK — dnia 26. VIII.

12.25 Koncert orkiestry wojskowej.
16.00 „Sierpień" — pogadanka dla dzieci starszych.
16.15 Jan Brahms: Sonata G-Dur — op. 78.
16.45 Obozy wypoczynkowe dla kobiet pracujących.
17.00 1000 taktów muzyki w wykon. zesp. S. Rachonia.
18.15 Muzyka lekka (płyty).
19.00 „Pieśń o Bośni" — słuchowisko (wznowienie).
20.00 Koncert muzyki lekkiej i tanecznej.
21.45 „Dni powszednie państwa Kowalskich", powieść mówiona.
22.00 Recital śpiewaczy Ireny Cywińskiej.
22.30 Żniwne pieśni na Śląsku — audycja słowno-muzyczna.

PIĄTEK — dnia 27. VIII.

12.25 Koncert w wyk. Orkiestry Salonowej T. Rydera.
16.15 Dawna i nowoczesna muzyka hiszpańska — koncert.
16.45 Brzegami Wisły środkowej — reportaż.
17.00 Koncert rozrywkowy.
17.50 Tężec — pogadanka.
18.15 Pogadanka konkursowa.
18.20 Pieśniarze amerykańscy (płyty).
19.00 Płyty dla znawców — nowoczesna muzyka kameralna.
20.00 „Wieczór melodyj operetkowych" — w wyk. Małej Ork.
21.45 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść mówiona.
22.00 Koncert orkiestry Polskiego Radja.

SOBOTA — dnia 28. VIII.

12.25 „Melodje północy" w wyk. Orkiestry A. Hermana.
16.00 „Uciekła mi piosenka" — wesoła audycja dla dzieci.
16.30 Recital śpiewaczy Janiny Hupertowej.
16.55 Polska Kapela Ludowa — F. Dzierżanowskiego.
17.30 Audycja konkursowa.
17.50 Przez lasy i góry Szwajcarji Kaszubskiej — pogadanka.
18.15 Albert Sandler w repertuarze operowym, operetkowym i filmowym.
19.00 Recital fortepianowy Zbigniewa Drzewieckiego.
20.00 Aud. dla Polaków zagranicą.
21.05 Arje operowe w wykon. Ireny Gadejskiej i S. Witasa.
22.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.